TANIE KSIĄŻECZKI DLA MŁODZIEŻY.

I.

BURZA.

Obrazek z dziejów Lwowa.

PRZEZ

Teresę Jadwigę.

z rycinami.

WARSZAWA.
Nakładem Księgarni A. Rzążewskiej i J. Lisowskiej,
Marszałkowska 99.
Druk Józefa Sikorskiego, Warecka 14.

1898.

Дозволено Цензурою
Варшава 5-го Іюля 1897 г.



Lwów w XVII wieku.

I.

Dawno już, bardzo dawno temu, bo jeszcze w wieku XVII, w mieście Lwowie na przedmieściu Kaliskiem wznosił się skromny dworek Jana Sępa, znanego wówczas w kraju płatnerza, który dostarczał zbroi pierwszym panom w Rzeczypospolitej. Za dworkiem Sępa ciągnęły rzędem dworki stolarzy, rymarzy, tokarzy, oraz innych rzemieślników, a także i kupców miasta; wszystkie wśród ogródków, od ulicy płotami oddzielone, wille dzisiejsze przypominały.

Było to roku 1648. Czerwiec wystroił ogródek Sępa w kwiaty i świeżą zieloność. Wśród gałęzi jego drzew uwijał się rój ptactwa: gwarno i wesoło w nim było, a ponieważ była to niedziela więc cała rodzina wyległa do ogródka z warsztatu, który tuż obok domu mieszkalnego się wznosił. Łoskot młota nie dochodził tego dnia,

a z okien kuźni ogień nie świecił krwawo. Sęp przybrany świątecznie, siedział na darniowej ławce opodal płota i wypatrywał, czy ulicą który z sąsiadów nie idzie. Niedziele spędzał on zawsze z rodziną, lecz lubił gdy przyjaciele nawiedzali w święto ubogi jego domek; wówczas zastawiał im suto stół i gawędził wesoło z nimi. Dziś więcej niż kiedykolwiek wyglądał gości, czasy były ciekawe, umarł król Władysław IV; od południowschodu ciągnęła posępna chmura, grożąc burzą i gromami: było o czem mówić...

Opodal Sępa, na drugiej kanapce darniowej, pod cieniem wierzby płaczącej, siadła jego żona z najmłodszym synaczkiem niemowlęciem jeszcze; rozpowinęła malca z pieluch, by mógł poruszać swobodnie nóżkami i rączkami—on też korzysta z tego. Podniósł różowe stopki w górę i rączkami ciągnie je do ust, gaworząc głośno „gau, gau, gau“, a któż zgadnie co ten gwar oznacza! Rozumiały chłopczynę może ptaszęta, bo coraz to które wychylało maleńki łepek ku niemu i czarnemi ślepkami patrzało rozumnie, szczebiotem głośnym odpowiadając na owe „gau, gau, gau”. Dwie najmłodsze córki Sępa: czteroletnia Donia i pięcioletnia Zosia, stojąc u kolan matki bawiły się z braciszkiem: jedna usiłowała odcią-

gnąć mu nóżkę od buzi, a on mocował się z nią z uśmiechem; druga nachyliwszy gałązkę wierzbiny do główki dziecka, muskała młodemi listkami jego czoło. Dziecina podnosiła wzrok w górę, szukając oczyma gałązki i śmiała się srebrnym głosikiem, dźwięcznym, serdecznym, a matka na Zośkę wołała:

— Daj spokój, jeszcze skośno patrzeć będzie!

Zośka puszczała gałązkę, lecz wnet o przestrodze zapominała i rozpoczynała zabawę na nowo... W pośród wielkiego trawnika rozpostartego przed domem, dwóch chłopców wyrostków jeden pietnastoletni, drugi o rok starszy, Bolek i Jurek, bawiło się w podbijankę: Bolek rzucał w górę piłkę, Jurek nie chwytał spadającej lecz podbijał napowrót w górę; obaj usiłowali nie dopuścić, aby upadła na ziemię. Niedaleko nich na trawie siedziała siostra ich, najstarsza w rodzinie, siedmnastoletnia Zuzia, w błękitnym kubraczku, w spódniczce ponsowej, z warkoczami ustrojonemi w kwiaty, plotła małe wianuszki z fiołków, które w trawie kwitły, a plotąc coraz to na braci spoglądała. Ilekroć zaś Jurkowi nie udało się podbić piłki, śmiała się głośno, serdecznie. W głębi ogródka widać było jeszcze jednę postać: rówieśnicę Jurka, szesnasto-

letnią Jolantę. Bliźniacy niepodobni byli do siebie: chłopak był rumiany, czerstwy, ogorzały; ona smukła i biała jak lilijka; jego oczy gorzały życiem, jej—smętnie patrzały w jasne błękity nad nią rozpostarte—i ona, jak Zuzia, kubraczek niebieski miała na sobie, ale spódniczkę białą. Warkoczy jej kwiaty nie stroiły, na szyi jej nie świeciły paciorki, a z całej jej postawy: z oczu, z czoła, biło tyle powagi i dobroci, iż świętych niewiast oblicza przypominała.

Modliła się właśnie, różowe jej usteczka poruszały się ustawicznie, a wzroku od nieba nie odrywała. W tem na ulicy, ciągnącej obok ogródka, rozległ się tentent kopyt końskich i brzęk jakiś głośny; podniósł się Sęp z kanapki darniowej i wypatrywać począł. Posłyszeli hałas chłopcy, oraz Zuzia: oni piłkę, ona wianuszki rzucili i pobiegli do płotu; na ulicy ukazało się trzech rycerzy konno, w zbroje odzianych w hełmach na głowie, z szablami u boku, zupełnie jakgdyby na wojnę jechali. Za nimi dążyło również na koniach, lecz bez pancerzy, tylko z toporami u boku, kilku pachołków. Jurkowi oczy zaświeciły.

— Wojacy!—szepnął do brata

Na twarzyczce Zuzi odmalowała się ciekawość, aż przechyliła się do połowy za płot, by przypatrzeć się lepiej jadącym; lecz jakież było jej zdumienie, jakiż zachwyt Jurka, gdy rycerze owi dotarłszy do nich, zatrzymali konie— a ten który najświetniejszą zbroję miał na sobie, odezwał się głośno.

— Wszakże to dworek Sępa, płatnerza?

Sęp zamiast odpowiedzi, roztworzył furtę na oścież i skłonił się nizko.

— Ta zbroja, która waszą pierś, panie, zasłania, w moim warsztacie była wykutą—rzekł.

— No to i trafiłem odrazu — odparł rycerz;—dziś nie o zbroję przybywam prosić, ale o nocleg.

Sęp spojrzał zdziwiony, a rycerz zeskoczywszy z konia, skinął na pachołków; zrozumieli jego życzenie, bo jeden podsunął się natychmiast i ujął jego gniadosza za uzdę: gość wszedł do ogródka.

— Przybyłem do Lwowa z rycerstwem, idziemy z Krakowa—począł, zwróciwszy się do płatnerza.—W mieście zabrakło gospód dla nas; pomyślałem sobie: „Jan Sęp nie odmówi mi przytułku na noc" a tuszę, że i moim druhom

także, znużeni drogą jesteśmy, głodni też nieco i spragnieni

— Chociażbyście panie dziesięciu druhów przyprowadzili, jeszczebym dla każdego znalazł pomieszczenie—odparł Sęp kłaniając się powtórnie.—„Gość w dom, Bóg w dom", mówili ojce nasi. Pamiętam o tem i rad zawsze gościom jestem, a tem więcej panu ze Zbaraża, który łaskaw był zawsze dla mnie.

— Więc prowadź do izby i spełnij przykazanie, które powiada: „Głodnego nakarmić, pragnącego napoić, podróżnego w dom przyjąć"— rzekł wesoło rycerz.—Moi druhowie Seweryn Skibicki i Leon Daniłowicz, wdzięczni ci będą, równie, jak ja, za przytułek i wieczerzę—dodał wskazując towarzyszy, którzy, już oddali konie swoim pachołkom i do niego się zbliżyli.

— Idźcie za mną panowie, będę torował drogę—odparł Sęp—i ruszył przodem. Goście podążyli za nim, a za gośćmi Zuzia, Bolek i Jurek, który zwrócił się potem z pachołkami, ku stajence ukrytej za warsztatem.

Gdy Sęp przechodził koło żony—rzekł mijając ją.

— Marysiu, mamy gości.

Dla niej było to dosyć.

— Jolanciu!—zawołała—a wołanie to zbudziło z zadumy, siedzącą w głębi ogródka dzieweczkę i pobiegła wnet do matki.

— Zabierz dzieci, uśpij je, później przyjdź do izby gościnnej—rzekła do niej matka, pomożesz mi stół nakryć. Gości mieć będziemy na wieczerzę.

Nie zdziwiło to Jolanty: goście w niedzielę we dworku Sępa prawie zawsze bywali na wieczerzy. Odebrała w milczeniu niemowlę z rąk matki, skinęła na dziewczęta i udała się do alkierza; pół godziny nie upłynęło, a dzieci spały już cicho. Wówczas przeżegnawszy każde, pospieszyła do izby jadalnej, gdzie matka z Zuzią i dziewczyną do posług krzątały się czynnie.

Sęp był widocznie zamożny, gdyż srebrne misy i dzbany błyszczały na stole zasłanym cienkim obrusem, a krzesła dębowe misternie rzeźbione otaczały stół. Pod ścianami izby stały takież szafy firankami z żółtej materyi ustrojone, pomiędzy niemi wschodki, na których piętrzyły się niemal pod sufit, w piramidy ustawione różnego rodzaju i kształtu naczynia srebrne... Zuzia listkami kwiatów zasypywała właśnie ceglaną posadzkę, matka biały obrus na stole.

— Niezwykłych mamy chyba gości—odezwała się Jolanta, patrząc zdziwionem okiem na te niezwyczajne przygotowania.

— Pewno, że niezwykłych—odparła Zuzia —rycerzy z Krakowa... Ale ty wołałabyś jakiego pobożnego pielgrzyma, wszak prawda, siostrzyczko?—dodała z uśmiechem.

— Może—szepnęła Jolanta.

— Któryby powracał na przykład z Jerozolimy i opowiedział ci, że widział Golgotę.

Na bladą twarzyczkę młodszej córki Sępa wybiegły rumieńce.

— Pewno—odparła tymczasem głośno.

--- Nie gadaj, ino spiesz, goście głodni, ozwała się Sępowa.

Dziewczęta zajęły się rozstawianiem pucharów i talerzy z sałatą przyprawioną z młodego chmielu, rzerzuchy i bobowniku. Właśnie kończyły stół nakrywać, gdy w przyległej izbie rozległy się kroki, a wnet potem trzech mężów ukazało się na progu jadalni; byli już rozbrojeni, jedwabne ich suknie błyszczały od złota; tuż za nimi szedł Sęp i synowie jego. Zuzia zerknęła ciekawie na gości, a gdy ukłon jej złożyli, spuściła oczy i dygnęła zarumieniona; Jolanta, tak się przestraszyła obcych, iż chciała

umknąć z izby, lecz spostrzegł jej zamiary pan ze Zbaraża i zaszedł jej drogę.

— Nie uciekaj dzieweczko, rzekł — lepiej smakuje mi niewieścią ręką puchar nalany; proszę byś mój napełniła.

Jolanta została ale niechętnie. Zuzia rzuciła jej zazdrosne spojrzenie, i przysunąwszy się szepnęła złośliwie.

— Może wolisz teraz rycerzy, niż pątników.

Ale słodka Jolanta nie odpowiedziała jej.

Goście tymczasem stół obsiedli i prosili gospodarza, aby zajął obok nich miejsce; Sępowa do kuchni pospieszyła.

— Mówią, iż w kraju żałoba we wszystkich sercach—odezwał się Sęp, chcąc rozmowę zagaić.

— Nie dziwota—odparł pan ze Zbaraża—król Władysław umarł, nowego opiekuna jeszcze nię mamy. Kozacy zgromili nas dwakroć, zkądże ma być inaczej?

— Teraz my ich zgromimy, wmięszał się do rozmowy dorodny Skibiński.—Czterdzieści tysięcy zbroję przywdziało, takiej sile nie podołają.

— A któż wodzem?—zapytał Sęp.

— Trzech obrano:—rzekł pan ze Zbaraża— Dominika Zasłowskiego, Mikołaja Ostroroga i Aleksandra Koniecpolskiego... Pierwszy ma pełne piwnice złota, więc będzie miał czem wojnę prowadzić; drugi w głowie naukę, trzeci męztwo w sercu, bo młody jest jeszcze. Powiedzie się nam niezawodnie.

— Powiedzie się—przytwierdził Sęp.

— Jeśli dwóch wodzów nie okażą, że są zastarzy do boju, a trzeci zamłody—odezwał się milczący dotychczas Lew Daniłowicz.

— Ten zawsze wątpi we wszystko i wszędzie plamę dopatrzy—mruknął Skibiński.

— Bom niejedno doświadczył, niejednego zawodu doznał—odparł spokojnie Lew. Tak starsi rozprawiali, a Bolek z siostrami krążyli koło stołu bacząc, by puchary i talerze gości nigdy próżne nie były; nie słyszeli o czem mówią, lecz za to wiedzieli, że im wieczerza smakuje, bo półmiski odsyłali próżne co chwila do kuchni, żądając, by więcej jadła matka przysłała jeszcze. Jurek przyszedłszy do jadalni ze stajni, widząc, iż gościom obsługi nie brakuje, siadł na nizkiem krzesełku, tuż koło pana ze Zbaraża i słuchał pilnie rozmowy.

— A o elekcyi zamyślacie? — zapytał naraz Sęp.

— A jakże, już dzień naznaczony i miejsce. Już się zjeżdżali do stolicy z różnych stron posłowie, gdy my na wyprawę ruszali—odparł pan ze Zbaraża — pewnikiem królewicza Jana Kazimierza, brata nieboszczyka okrzykną i namyślać się długo nie będą... Nawałnica idzie ku nam, czasu niema do stracenia; muszą spieszyć z wyborem, bo państwu król potrzebny. Jedni myślą o elekcyi, drudzy o tem by odeprzeć chmurę ciągnącą.

— Poszedłbym z tymi, którzy przeciw chmurze idą—odezwał się Jurek.

Pan ze Zbaraża zwrócił się ku niemu i teraz dopiero spostrzegł te szerokie źrenice utkwione w niego z wyrazem zachwytu. Zabawiło go to; uśmiechnął się do chłopca.

— Do wojaczki rwie ci się serce?—zapytał—kładąc dłoń na jego ramieniu.

Właśnie Jolanta przysunęła się do niego, by wedle jego woli puchar mu napełnić.

— Oj rwie—odparł Jurek.

Słowa te dobiegły dziewczę: spojrzała smutnemi oczyma na brata.

— Chcecie czoło wieńczyć laurem—odparła—sława i rozgłos wam się marzą: czyż nie wiecie, że laury i wojna bólem darzą serca matek, dziatki sierotami czynią?

— Pięknie powiedziałaś dzieweczko—zwrócił się do niej, zdziwiony tak mądremi słowami pan ze Zbaraża.—Wojna wieńczy jednym czoła, drugim serca rozdziera w istocie... Nie zazdrość nam chłopcze wyprawy, na jaką idziemy—dodał.—Dwojaką bywa wojna: chlubna i wstrętna, godziwa i niegodziwa... Gdy nadstawiamy pierś w obronie braci i ziemi matki swojej, taka wojna jest godziwą i chlubną; gdy napadamy i rabujemy ziemię cudzą, taka jest niegodziwa i wstrętna. Wstrętną jest także taka, w której walczyć musimy w własnej sprawie z własnymi braćmi; wstrętną, lubo godziwą. Na taką właśnie my idziemy... Iść musimy, bo Rzeczypospolitej grozi niebezpieczeństwo: uciskany na Ukrainie kmiecy lud, porwał za broń i broń tę zwrócił przeciw całej Rzeczypospolitej, jak gdyby wszyscy względem nich zawinili. Niedość na tem: wezwał ku pomocy nieprzyjaciół krzyża, Tatarów; musimy iść walczyć, lecz wyznaję, że wojna ta jest mi nie-

miłą i takiego pacholęcia jak ty, nie wziąłbym na nią za nic. Rośnij ku szlachetniejszej sprawie.

— Ja jednakże żałuję, że nie idę—odparł Jurek.

— Bo jeszcze nie wiele rozumiesz—odezwał się stary Sęp, poczem zwrócił się do gości.

— Strasznych mordów pono dopuścili się kozacy w różnych stronach kraju—rzekł głową trzęsąc.

— Chcieliśmy ich ułagodzić obietnicami—odparł Daniłowicz.—Już Osoliński i Kisiel zajęli się układaniem praw, które komisya przez sejm wybrana miała zawieść Chmielnickiemu, gdy przyszły wieści o strasznych rzeziach w Połonnem i posuwaniu się w głąb kraju zastępów kozackich; to ostudziło wielu. Zamiast dać przywileje kozakom, utworzono przeciw nim hufce.. Teraz niema innej rady, jak zetrzeć się z nimi; ale kto zwycięży, Bóg jeden wie...

— Bo też czemu doprowadzono ich do ostateczności—rzekł Sęp—toć pono Chmielnicki żywi w sercu osobistą urazę przeciw jednemu z naszych panów, niejakiemu Czaplińskiemu, który syna obił mu publicznie, a potem futor mu spalił.

— A któż to osobiste urazy oddaje całemu narodowi—odezwał się niemal z gniewem Skibicki.

— Nie pochwalam ja tej zemsty, ino fakt przytaczam—tłomaczył się Sęp.—Jeden i drugi na potępienie zasługują.

Pan ze Zbaraża targnął wąsa.

— Najczęściej tak bywa, iż za winę jednego cierpią dziesiątki, tysiące czasami—mruknął.—A no, nie wygrzebywać nam teraz przyczyny nieszczęścia—dodał—na czas pokoju zostawmy do dyskusyi tę rozprawę; teraz nam myśleć o tem, jak złe zażegnać.

— Zażegnamy je wkrótce—odezwał się Skibicki—rozegnamy szablami buntowników, upokorzymy śmiałków, a potem spiszemy ugodę, aby podobne wypadki więcej się u nas nie powtarzały; takie moje zdanie przynajmniej.

— I mądre zdanie—odparł Sęp.

Jeszcze czas jakiś gawędzili, a gdy sprzątnęli misy i wysuszyli puchary, wówczas podniósł się pan ze Zbaraża i rzekł:

— Teraz o spoczynku myśleć należy, bo jutro równo ze świtem mamy ruszyć dalej. I podnieśli się wszyscy. Sęp poprowadził gości do obszernej izby, gdzie żona jego kazała służbie przygotować trzy wygodne posłania, poczem głęboka cisza zaległa dworek płatnerza.

Nie wszyscy jednakże spali, Jurek całą tę noc ani na chwilę oka nie zmrużył, a gdy świt przedarł się zaledwie przez maleńkie okienko jego izdebki, wstał cicho, by nie zbudzić Bolka, który sypiał z nim na jednem posłaniu i wysunąwszy się z domu, podszedł pod okna izby, którą goście zajmowali; chciał się przekonać, czy śpią jeszcze... Dobiegły go głosy, więc poleciał natychmiast do panów zapytać, czy usług jego nie potrzebują: zażądali zimnej wody do umycia i oczyszczenia z pyłu sukien; nie budząc pachołków sam spełnił ich żądania. Przyniósł im dwa cebry wody—wykąpać się niemal mogli—poczem dopiero do stajni pospieszył, kazać konie pachołkom przygotować. O piątej godzinie goście już byli gotowi do drogi, wyszli więc do ogródka z Sępem, a Jurka wysłali na ulicę, by wypatrywał, czy wojska nie nadciągają; chłopak powrócił niebawem zdyszany i czerwony.

— Już idą!—zawołał zdaleka, poczem przypadł do nóg pana ze Zbaraża,

— Weźcie mnie ze sobą panie—rzekł głosem błagalnym.

On pogładził krucze jego włosy.

— Zawcześnie ci przypasywać szablę do boku—rzekł łagodnie—naucz się pierwej być

mądrym i dobrym, to większa zasługa człowicka niżeli być walecznym: przypomnij sobie, co ci wczoraj siostra powiedziała.

Jurkowi potoczyły się łzy z oczu, lecz nie śmiał więcej prosić.

Tymczasem nadciągnęły hufce, goście pożegnali płatnerza, skoczyli na konie, jakie przywiedli im właśni pachołcy i połączyli się z towarzyszami. Jurek wdarł się na płot, by lepiej widzieć ciągnących na wojnę. Wspaniale wyglądali: jedni od stóp do głów w stal okuci, w hełmach na głowie, drudzy, którym zbroja w pochodzie ciążyła, migali w tłumie złocistemi pasami i sukniami adamaszkowemi, lub aksamitnemi. Na tarczach rycerzy świeciły rubiny, szmaragdy, opale, u czapek i hełmów szumiały pióra sokole i brylantowe kity, z ramion ich spływały rysie skóry, lub jedwabne płaszcze barw jaskrawych. Wystroili się, jak gdyby na gody jechali, służba panów, która za każdym pocztem tłumnie dążyła, jasno też była przybraną... Tu i owdzie wśród tych szeregów barwnych i błyszczących, powiewały sztandary z godłami miast, lub ziem, jakie przedstawiały. Za pancernymi ciągnęła piechota, potem rydwany purpurowe ze złotemi węzłami i wozy wyładowane skrzyniami, w których wie-

ziono szaty, bieliznę i naczynia srebrne panów, lub zwinięte namioty i sprzęty, broń i amunicyę, a na samym końcu tego hufca olbrzymiego ciągnęły zwolna działa różnego kształtu. Tak świetnego zbrojnego orszaku nigdy jeszcze chyba nikt w Rzeczypospolitej nie widział, nawet konie rycerzy szły wystrojone na tę wyprawę: jedwabne siatki złotemi frędzlami ozdobione okrywały je, a na głowach powiewały kolorowe pióra strusie, podkowy zaś miały posrebrzane .. O klęsce nikt chyba nie myślał w tych szeregach, ale wszyscy pewni byli zwycięztwa... Janek patrzał, patrzał i napatrzyć się nie mógł rycerzom, już minęli dworek, on gonił jeszcze za nimi wzrokiem, gdy zwrócili się w ulicę boczną, ścigał echo tententu koni, brzęku szabel, chrzęstu zbroi, turkotu kół, szumu sztandarów i pieśni rycerzy, którzy nucili chórem hymn na cześć Ducha świętego, były to bowiem właśnie Zielone świątki... Już słowa pieśni zatopiły się w powietrzu, jemu się zdawało wszakże, że jeszcze słyszy tę piękną modlitwę, że ktoś koło niego nuci półgłosem: „Przybądź Duchu Twórco, myśli wiernych nawiedź, łaską niebieską napełnij piersi, któreś stworzył.“

I powtarzał te słowa, których echo niosło mu już tylko nutę, z warsztatu łoskot młota nie

dochodził; był spokojny, że ojciec nie pyta o niego, nie potrzebuje go przy pracy... Wtem dobiegło go z ogródka wołanie.

— Jurasiu! Jurasiu!

Poznał głos Jolanty; niepodobną była do niego pod żadnym względem, jednak lubił ją więcej, niż inne rodzeństwo, może dlatego właśnie przeciwieństwa z nim, może przez szacunek, jaki czuł dla tej pobożnej i dobrej dzieweczki. Ujrzawszy ją, zeskoczył natychmiast z płota. Jolanta szła ku niemu śpiesznym krokiem, a ubraną była świątecznie: na rozpuszczonych włosach, skropionych wonnymi olejkami, miała wianuszek z fiołków uwity, sukienkę błękitną, krojem prostym, kształtniczek srebrem bramowany, u szyi frezę z rąbku flamskiego, misternie haftowaną złotem. Cudną mu się wydała, podbiegł więc do niej i ucałował czule.

— Czego chcesz odemnie siostruniu? — zapytał.

— Idziemy do kościoła—odparła—czyś zapomniał, że dziś uroczystość „Zesłania Ducha Świętego" będziemy się modlić, aby Stwórca oświecił rozum naszych panów, którzy mają się zebrać na elekcyę, a także i tych, co wiodą hufce na wojnę.

— Oj ta wojenka, ciągle mi w głowie, westchnął Jurek.

— Ludów szczęściem jest pokój, bracie, nie wołaj ty wojny—odparła Jolanta — wojna to upiór ludów, to upiór rodzin.

Jurek schylił głowę w milczeniu, nie przekonała go wszakże.

— A jednak będę z czasem rycerzem,—pomyślał.

— Idź do domu i ustrój się przyzwoicie do świątyni pańskiej—odezwała się tymczasem łagodnie Jolanta—pójdziemy razem z ojcem na sumę.

Chłopiec nie odpowiedziawszy, wyprzedził ją, poszedł się przebrać.

Pełen pobożnych był już kościół Dominikanów, gdy rodzina Sępa tam przybyła. Dotarłszy do cudownego wizerunku Bogarodzicy, którym słynął w owe czasy ów kościół, Jan z synami stanął po stronie, którą mężczyzni zajmowali, Zuzia i Jolanta do niewiast się przysunęły... Główny ołtarz gorzał od świec woskowych jasno jarzących, stali już przed nim dwaj młodzi klerycy, jeden z kadzielnicą w ręku, drugi z dzwonkiem, pomiędzy nimi biskup w kapie złotej, w infule na głowie... Wśród mężczyzn przewa-

żnie widać było perłowe kontusze i kolorowe żupany, pasy lite lub jedwabne, bo w stroju tym lubowało się ówczesne mieszczaństwo, tu i tam spostrzedz też było można węgierską bekieszę, koronkami bramowaną, lub upstrzoną złotem pelerynę hiszpańską aksamitną. Poważniejsze niewiasty czepcami z pereł miały przystrojone głowy, lub biretami z piór, suknie zaś aksamitne i jedwabne powłóczyste, na piersiach łańcuchy złote, w uszach błyskotki; dziewczęta podobnie do Jolanty w większej liczbie były ubrane, tylko różne wianuszki migały na ich główkach, a co do barwy sukien, błękitna przeważała.

Biskup zbliżywszy się do ołtarza, wziął do rąk Przenajświętszy Sakrament i zwróciwszy się do ludu, zaintonował:

„Kłaniam się tobie Boże nieskończony
Pod przymiotami chleba utajony“.

Pochwycił lud słowa pieśni i dzwięczne głosy kobiet z pełnymi siły męzkimi zaśpiewały wspólnie.

„Tobie me serce podaję
Gdy Cię uważa, aż w sobie ustaje

. . . .

. . . .

Swięta pamiątko śmierci Pana mego,
Żywy pokarmie człowieka nędznego
Spraw by me serce z Tobą samym żyło,
A nadewszystko w Tobie się cieszyło."

Drżały szyby w oknach kościoła, głosy ludzkie przedzierały się przez nie i na ulicę wybiegały, gdzie ci, którzy już do świątyni dostać się nie mogli, chwytali je i pobożnie powtarzali. Organy i dzwonki wtorowały słowom, a z kadzielnicy poruszanej ręką kleryka wzbijały się obłoki wonnego dymu, pięły się pod sklepienie kościoła coraz gęściej, aż biskup, jego asystenci i ołtarz główny, zniknęli za nimi oczom modlących się, tylko cudowny obraz Bogarodzicy górował jeszcze ponad obłokami... Jolanta nie odrywała wzroku od słodkiego oblicza Matki Chrystusowej, a gdy biskup sumę rozpoczął poczęła szeptać drżącemi usty litanię:

„Duchu Święty Boże zmiłuj się nad nami
Święta Marya, módl się za nami

. . . .

I Zuzia szeptała także pacierze, lecz zerkała jednocześnie ciekawie oczyma po strojach niewieścich; na tej spostrzegła nową ozdobę

u sukni: frędzlę krętą i postanowiła zaraz po nabożeństwie zapytać, gdzie ją nabyła; u drugiej wpuszczone w sukni błękitnej bryty złote, u innej pięknym broszczem spódnicę oszytą, to jej płoszyło z ust modlitwę; opamiętywała się niebawem, wtedy składała natychmiast ręce i zwracała spojrzenia ku ołtarzowi, lecz wnet jakiś duch niedobry szeptał jej do ucha; „spojrz tam jeszcze“ a gdy spojrzała, spostrzegała wspaniałe zausznice ramion sięgające jednej z niewiast, lub świecące guzy u stanika innej i myślała:

— Ach żeby tatuś kupił mi taką piękną błyskotkę.

Juraś i Bolek nie odrywali wzroku od biskupa, ci przypatrywali się ze skupioną uwagą ceremonii, jaką odprawiał, a stary Sęp wtórował głosem tubalnym innym w pieśni, gdy zaś biskup zwrócił się do ołtarza i sumę rozpoczął, on wówczas półgłosem szeptał pacierze, od czasu do czasu bijąc się głośno w piersi i wzdychając ciężko.

Po skończonem nabożeństwie, gdy tłum wysypał się ze świątyni, poleciwszy dzieciom, by do domu wracały, płatnerz pociągnął z kilku przyjaciółmi do gospody Katarzyny, znajdującej się na przedmieściu Halickiem; tam kazał podać

kilka kufli piwa i siadłszy przy stole gawędził o bieżących wypadkach, a chłopcy jego i dziewczęta połączywszy się z sąsiadami, dążyli tymczasem do domu. Jolanta szła poważnie zadumana, trzymając się zdala od hałaśliwych gromadek; Zuzia ująwszy dwie przyjaciółki za ręce opowiadała im o gościach, jakich mieli wczoraj, a tamte jej zazdrościły.

— Czy pójdziesz dziś na Rusałki?—zagadnęła ją naraz jasnowłosa Hania, córka bogatego tokarza z przedmieścia, Pawła Kosa.

— Ach to rusałki dzisiaj! — wykrzyknęła Zuzia—zapomniałam całkiem o tem.

— Rusałki, Rusałki—pochwyciły inne dziewczęta—pójdziemy, pójdziemy.

I nuż klaskać w dłonie i skakać z radości.

Posłyszeli je chłopcy.

— Pójdziemy i my—rzekli—zbliżywszy się do nich.

— Wam niewolno, odparło kilka, chichocąc i biedz poczęły do domu hyżo, lekko, niebawem sukienki ich powiewały już tylko w dali; Hanusia najdłużej została w oczach chłopców, bo ta miała najbarwniejszą sukienkę i najsuciej naszyty świecidłami kształtniczek.

W czasach jeszcze pogańskich obchodzono w niektórych stronach naszego kraju święto zwane „Rusałkami“ na które kościół chrześcijański klątwy nie rzucił, lecz pozwolił zachować ową uroczystość jako zabawę ludową. Obchodzono Rusałki zwykle w dzień Zielonych Świątek.

Wpadłszy zadyszana do domu Zuzia pobiegła najprzód do matki z prośbą, by pozwoliła jej iść na ową uroczystość, nie opierała się Sępowa, boć powodu do oporu nie było; uszczęśliwiona dziewczyna krzyknęła na braci, by nacieli jej tyle gałązek wierzbiny ile jest członków w rodzinie, poczem uwiła dla ojca, dla braci, dla siostr i dla siebie po jednym wianuszku, a gdy wszystkie były gotowe, zwróciła się do Jolanty.

— Pójdziesz z nami?— spytała.

— Lepiej będzie mi w domu — odparła dziewczynka.

Zuzia nie nalegała. Rój dziewcząt barwnych, jak motyle już dążył ulicą, ku rzece Pełtwi wiodącą, każda niosła po kilka zielonych wianuszków, szły szepcząc, chichocąc różowe, uśmiechnięte i strojne, z okolicznych wzgórzy zbiegali ku nim chłopcy, niosący na ramionach długie zielone gałęzie, a od pól z miastem grani-

czących ciągnęły gromadki córek kmiecych także z wianuszkami, także strojne i barwne, nuciły one pieśń starodawną, na cześć owej uroczystości utworzoną.

„Rusałeczki ziemlaneczki
Na dub leźli koru kryzli
My wianeczki zawili
I jajeczniczu pojeli.“

Posłyszawszy to bogate mieszczanki zawtórowały im ochotnie.

„Rusałeczki ziemlaneczki
Na dub leźli koru kryzli“

Leciało pod obłoki pogodne.

— Buch! Buch! Buch! krzyczeli chłopcy, bijąc w dłonie, powietrze drżało od żartów, nawoływań i pieśni, słońce śmiało się do młodych, a oni do słońca,

Dobiegłszy do rzeki, dziewczęta poczęły rzucać wianki na wodę, poczem pobrawszy się za ręce tańczyły nad brzegiem. Skorzystali z tego chłopcy i poczęli sięgać gałęźmi po wieńce. Nagle zjawiło się za nimi kilka starszych kobiet z pękami pokrzyw i nuż swawolników rozpę-

dzać, bijąc ich po rękach i po głowie. Śmiechy się wzmogły, chłopcy uciekli z krzykiem, a baby stojąc z powagą nad wodą patrzały na płynące wianki, wtem jedna zawołała:

— Zuzuniu Sępowa. Rusałki pobrały prawie wszystkie twoje wianki.

Zuzia wyrwała się z koła tańczących, wesołość uciekła z jej liczka... Było to wróżbą, iż czyj wianek utonie, ten umrzeć musi koniecznie w końcu bieżącego roku. Zlękła się wróżby, przybiegła nad rzekę i wzrokiem niespokojnym poczęła szukać swoich wianków, lecz uśmiech powrócił na jej usta.

— Próżno nastraszyliście mnie babko—rzekła—związałam moje wianuszki krasną wstążeczką, płyną wszystkie jeden za drugim... Patrzcie tam, kierują się ku Łysej Górze.

To mówiąc palcem wskazała przed siebie.

— Ten pierwszy tatusin, ten drugi mamin, trzeci Jolanty, bo ona choć młodsza odemnie latami, ale jakby starsza, więc szacunek mam dla niej. Potem ja płynę, za mną Jurek i Bolek, a te trzy maleńkie to najmłodszych.... Wszystkie, wszystkie płyną, będzie w domu wesoło, oj będzie cały rok!

„Rusałeczki ziemlaneczki
Na dub leźli, koru kryzli“.

Zanuciła głośno i skacząc wróciła do jasnowłosej Hani.

— Słuchaj mileńka moja—rzekła do niej, obejmując ją w pół—nasi ojcowie zamienili kiedyś między sobą obrączki i przyjaźń swoją tym ślubem utwierdzili, my toż samo uczynim dzisiaj.

To mówiąc ściągnęła z palca serdecznego złoty pierścionek i wsunęła go na palec przyjaciółki. Hania to samo uczyniła, poczem uściskały się i pogoniły za towarzyszkami, które właśnie poszły nad rzekę patrzeć, co się dzieje z ich wianuszkami. Baby już odeszły, one naprzemian to chichotały i żartowały, to pieśni nuciły. Wtem zjawili się z powrotem chłopcy. Ujrzawszy biegnących ku nim, niektóre z dziewcząt poczęły udawać Rusałki: kilka, a między nimi Zuzia, wdarły się ze zwinnością wiewiórek na drzewa w pobliżu rosnące i wychyliwszy z pomiędzy gałęzi strojne w barwne wianuszki główki, ku nadchodzącym figlarne spojrzenia rzucały.

— Hu! hu! chodźcie ku nam—wołały—będziemy się kołychać na areli, podlecimy do księżyca, srebrny promyk ukradniemy.

Chłopcy przyspieszyli kroku, nim do drzew dopadli, już wietrznice zeskoczyły z gałęzi i chyżo lekko jak motyle biedz do domu poczęły, szumiąc spódniczkami i wołając:

— Nie gońcie nas, bo was zawiedziemy do koralowych pałaców, pod wodą rosnących i w niewolników swoich zamienimy.

Lecz oni tej groźby snać się nie lękali, bo nie przestawali ścigać uchodzących,

Różowa jak makówka, z piersią falującą od zmęczenia wpadła Zuzia do ogródka rodziców, za nią Bolek i Juraś. Młodsze siostrzyczki wybiegły naprzeciw nich z wyciągniętemi ramionami, Bolek porwał jednę na ręce, Jurek drugą i mówiąc:

— Ot pochwycilismy Rusałki, pieszcząc dzieciny weszli do izby jadalnej, gdzie stół był już białym obrusem zasłany i ojciec siedział nad pełnym talerzem żuru, a obok ojca matka z najmniejszym synaczkiem, który powitał wchodzących uśmiechem i wołaniem.

— Dzidzi! dzidzi!

Jolanta stawiała właśnie przed matką kubek mleka.

— Toście użyli święta—powitał temi słowy Sęp synów i córki—siadajcież do stołu, bo pe-

wno głodni i zmęczeni jesteście; Jolanta wam usłuży, a wy opowiecie nam, coście robili.

Chłopcy spuścili siostry na ziemię i siedli obok ojca, Zuzia obok matki, poczem opowiadali naprzemian, jak się gonili, jak śpiewali, jak tańczyli, jak ich baby parzyły pokrzywami i wróżbami straszyły, a dzień ubiegał, zmrok zalegał powoli izbę, na niebo wysypały się gwiazdy. Niemowlę usnęło na kolanach matki, więc je położyła do kołyski; młodsze dziewczynki poczęły przecierać oczy, Jolanta odprowadziła je do alkowy, zostali przy stole tylko starsi. Gdy więc wszyscy wieczerzę spożyli i Jolanta wróciła od dzieci, Sęp wezwał rodzinę na ganek, siedli na wschodkach i patrząc w gwiaździste niebiosa chórem zanucili:

„Wszechmocna mego opatrzności Boga,
Gdy na mnie zewsząd następuje trwoga
W największych ludzkich względach nic nie [dufam,
Bo w Bogu ufam.

„Kto się na Boga doskonale spuści,
W wszelkich przygodach Bóg go nie opuści,

Twej się polecam opatrzności Boże
Miej mnie w opiece.

. . . .

Modlitwa brzmiała głośno, echo niosło nutę łąkom, łąki okolicznym lasom powtarzały i pobożny hymn biegł coraz dalej, coraz donośniej brzmiał we dworku, nastroił uroczyście serca śpiewających, na wszystkich twarzach malowało się wzruszenie, brzmiało we wszystkich głosach... Gdy skończyli się modlić, pozostali chwilę jeszcze skupieni, wpatrując się z cichą zadumą, pełną pokoju i wiary w niebo gwiazdami ustrojone.

Pierwszy powstał Sęp, nakreślił w powietrzu krzyż nad głowami dzieci i oddalił się do swej izby; matka pozostała jeszcze słodko wzruszona i dziękowała myślą Panu Wszechrzeczy za szczęście, jakiem ją darzył codziennie.

Wtem przykłąkł u nóg jej Juraś.

— Matusiu, gdybyś ty wiedziała, jak ja kocham mocno Boga—rzekł —wszystką krew wytoczyłbym ochotnie dla Niego; toć On mi tyle, tyle daje, toć mi tak dobrze na ziemi.

— A pilno ci stracić to dobro — szepnęła Jolanta, która tuż obok matki siedziała — wzdy-

chasz za wojną, która burzy takie ciche szczęście, jakie naszym jest udziałem, a jakie wielu straci niebawem lub już straciło.

To rzekłszy westchnęła.

— Chłopak zwrócił się do niej.

— Tobie zawsze smutne myśli w głowie — odparł z wymówką.

— Tyś gonił Rusałki, ja goniłam myślą tych, którzy poszli zdobywać za nas rany i ból, trudy i niewygody, których jutro czekają łzy i sieroctwo—rzekła Jolanta.

— Zmówmy za nich Zdrowaś Marya — odezwała się Sępowa.

I pokłękli wszyscy i zanucili „Pozdrowienie Anielskie“ poczem rozeszli się i usnęli niebawem z myślą spokojną o jutrze: czuli się tak szczęśliwi, a ci, którym rany i ból, łzy i sieroctwo groziły, byli tak od nich daleko.

II.

Lato dobiegało do końca, a mieszkańcy Lwowa nic jeszcze nie wiedzieli, czy elekcya odbyła się już, kogo na niej panowie królem obrali, czy ci, którzy poszli na bój, już starli się z wrogiem. Sęp wszakże wiedział o tem, że kraj gotuje się do wojny, bo roboty miał nad miarę, aż przybrać musiał robotników. Bolek i Jerzy całemi dniami pracowali teraz w warsztacie, w kuźni nieraz do północy łoskot się rozlegał i buchał ogień na kominie, a mieszkańcy przedmieścia mówili głośno, że Sęp niedługo doścignie w majątku Kosa tokarza. Wróżby te nie zachęcały wszakże starszego syna płatnerza do zawodu ojcowskiego.

— Jak dorosnę, zostanę rycerzem—mówił nieraz do brata—póty ojcu do nóg kłaniać się będę, póki nie pozwoli.

— Phi! co mi tam po rycerstwie—odpowiadał Bolek—wolę ja kuć zbroje dla rycerzy: siedzę sobie w warsztacie, stroję kamyczkami tarczę i myślę, jak ta praca moja zasłoni pierś jakiego ojca rodziny od pocisku wroga, lub pierś syna,

który jest podporą matki i śpiewam sobie spokojnie: „Chwała Panu Przedwiecznemu niechaj będzie". A na wojnie co: hałas, jęki i przekleństwa uszy ci wiercą, pociski huczą koło ciebie i zwalają z koni twoich towarzyszy: patrzeć musisz na ich męki, na ich rany i pobiedz im z pomocą nie możesz. Zdrów wyjeżdżasz z domu na bój, a wracasz kaleką bez nogi, lub ręki, bez oka, lub z głęboką blizną, i niedołęgą do końca życia zostajesz.

— Nie bluźnij—ofuknął go Jerzy.—Zostanę rycerzem nie czem innem; będę mordował wrogów.

— Br!—otrząsnął się Bolek — mordować ludzi straszna rzecz. Toć i między wrogami są ojcowie, bracia, synowie, nie nasi wprawdzie, ale bliźnich naszych.

— Zostań księdzem—mruknął Jurek.

— Jużci wolałbym księdzem być, niż żołnierzem; lubię ciche życie.

— Baba z ciebie! wstyd mi robisz tem gadaniem. Milcz lepiej, bo czeladź cię jeszcze posłyszy i naśmiewać się będzie.

— Niech się śmieją, takiem myśleniem nie grzeszę chyba.

Tak często sprzeczali się bracia, a rycerzy z powrotem jak nie widać, tak nie widać. Ani słychu o nich.

Pewnego popołudnia, po dniu pracowicie spędzonym w warsztacie, Jerzy rzekł do ojca.

— Pozwólcie mi ojcze iść na łowy ze strzelbą.

— A idź—odparł Sęp—ale nie wracaj późno, bo to różne posłuchy chodzą po mieście; matka byłaby niespokojna, iż broń Boże, coś złego cię spotkało.

— Jakie posłuchy?—zapytał Jerzy.

Sęp odpowiedzi nie dał, machnął tylko ręką i poszedł do kuźni. Jerzy jednak pomyślał.

— Chyba niedobre, bo coś zdawało mi się że ojciec dziś chmurny od rana. Spostrzeżenie to nie odwiodło go wszakże od chęci łowów: poszedł po strzelbę. Wychodząc z domu, spotkał w ogródku Zuzię.

— Gdzie idziesz?—zapytała go.

— Wieczerzę upolować—odparł.

— Pójdę z tobą razem; mam ochotę Hanię odwiedzić—rzekła.

— Chodź—odparł.

I poszli razem.

— Żeby tak spotkać rycerzy wracających z boju! — westchnął po chwili Jerzy.

— Alboż wracają już?—spytała siostra.

— Przecież kiedyś wrócić muszą; poszło ich 40,000 na bój, wszyscy wyginąć nie mogli — odparł.

Zuzia się zastanowiła.

— Co mi tam, jutro pójdę do Hani, a dziś z tobą—odezwała się naraz.

— Jak nie spotkamy żadnego rycerza, żałować będziesz—uczynił jej uwagę Jerzy.

— Et nie—rzekła dziewczyna—pogadamy razem.

Minęli właśnie przedmieście i weszli na drogę wśród pól się wijącą. Rżysko w promieniach słonecznych złotem zdawało się być utkane; rozmarzonym wzrokiem wodzili po niem, wspominając wesołe czasy żniw. Wtem coś przebiegło koło drogi.

— Przepiórki!—krzyknęła Zuzia.

Słowa jej spłoszyły stado: ptaki zerwały się z szumem do ciężkiego lotu, Jurek zwrócił za niemi strzelbę. Strzał wypadł, ale nie dogonił uciekających!... Nie dogonił przepiórek, lecz zbudził wędrowca śpiącego pod gruszą, stojącą przy drodze: Jerzy i Zuzia spostrzegli naraz pod-

noszącą się naprzeciw nich jakąś postać w łachmanach, która obudziła w sercu dziewczynki przerażenie. Gdyby bowiem obdarty był tylko ów tajemniczy wędrowiec!... lecz miał on twarz zarosłą, jak dziki, pyłem i potem ubrudzoną. Wzrok posępny, przestraszyć mógł łatwo każdego.

Odważny Jurek uczuł jednakże tylko budzącą się w nim ciekawość. Gdy Zuzia stanęła w miejscu blada i nieruchoma, jakgdyby nogi jej w ziemię wrosły, on podszedł ku obcemu i zapytał.

— Podróżnym jesteście?

— Z pod Pilawiec wracam—odparł posępnym głosem.

— A cóż tam było?

— Bój krwawy, starliśmy się z kozakami. Jerzemu oczy zaświeciły.

— I zwyciężyliście?—zapytał tonem, który sam przez się twierdzenie wypowiadał.

— Rozbito nas sromotnie, garść wraca obdarta, wynędzniała jak ja—odparł wędrowiec.

Chłopiec spojrzał z niedowierzaniem.

— Byliście w szeregach? — zapytał.

— Nie inaczej.

— A gdzież szabla wasza, gdzie tarcza, gdzie koń?

Obcy rozśmiał się z goryczą.

— Tatarom teraz służą—rzekł—Tatarów wziął sobie do pomocy Chmielnicki.

— A gdzież wasi towarzysze?

— W różnych stronach; w ucieczce szukaliśmy ocalenia, więc różnie się rozbiegliśmy.

— Kłamca jakiś—pomyślał Jerzy—jakiejże to potęgi potrzeba było, ażeby rozbić 40,000 ludzi. Niepodobna...

Chociaż mu nie wierzył, zadał wszakże jeszcze jedno pytanie.

— Dokąd idziecie?

— Do Lwowa;—odparł wędrowiec—spocznę tam przez noc. Znajdzie się ktoś przecież, kto mi wrota swoje gościnnie otworzy. Rankiem pójdę dalej; mam w Krakowie rodzinę.

Jerzy skinął mu głową i do Zuzi powrócił.

— Łgarz i basta—rzekł—wracajmy jednak do domu. Gdybym był sam, poszedłbym dalej, ale ty się boisz.

— Boję się—odparła i uchwyciwszy go pod ramię, przytuliła się do niego. To zbój, pewno zbój—szeptała.

Zwrócili się ku domowi: szli spiesznym krokiem, na wędrowca się nie oglądając. On chwilę gonił ich ponurym wzrokiem, poczem powlókł się zwolna w przeciwnym kierunku. Na ganku zastali ojca, Jolantę i Bolka: przysiadłszy przy nich na wschodkach, poczęli opowiadać o spotkaniu: Zuzia, zbójem przezywała wędrowca, Jerzy tchórzem.

— Oj, oj! jak to łatwo potępić bliźniego, —przerwał im naraz Sęp—a co wy wiecie w jakich on był opałach, co mu broń wytrąciło z ręki... Już lepiej milczcie, boć przez te chwil kilka tyleście nagrzeszyli językami, że mi serce żółcią wzbiera.

To rzekłszy, powstał i oddalił się.

— Co ojcu jest dzisiaj?—zapytał zdziwiony Jerzy.

— Alboż nie miał racyi się rozgniewać?—rzekła Jolanta.—Podróżnego nie zaprosiliście do domu, poszedł dalej głodny i znużony, a teraz posądzacie go najniesłuszniej o kłamstwo. Toć nie on pierwszy powiada, że wojska nasze rozbite; gorzej inni mówią, że nasi bez starcia umknęli z placu boju, że wróg lada dzień stanie pod Lwowem.

Jerzy zerwał się, a oczy mu zapałały.

— Co mówisz siostruniu? tu u nas będą się bić?—zapytał głosem wzruszonym—nie usiedzę wtedy w warsztacie, nie usiedzę dalibóg! Mam strzelbę, pójdę na wroga.

Jolanta spojrzała pełnemi łez oczyma w niebo.

— Panie oddal od nas idącą burzę—szepnęła.

— Głupi jesteś Jurku, — z nadąsaną minką odezwała się Zuzia—toć gdy tu wojna dojdzie, nam grozić będzie niebezpieczeństwo; bo gdy jednych zwyciężyli to i drugich potropią.

— My się nie damy:—rzekł z miną pewną chłopiec—pokażą mieszkańcy Lwowa co potrafią. Poczem zwrócił się do brata.

— Ty przywdziej spiesznie habit — dodał z ironiją—habit obroni cię od służby rycerskiej.

Na bladą zwykle twarz młodszego syna Sępa wybiegły rumieńce, błękitne jego oczy pociemniały.

— Wojny nie pragnę i biedz na nią nie mam ochoty—odparł z godnością — lecz gdy wróg o moje gniazdo się pokusi, wówczas tchórzem nie będę; czy w mniszym habicie, czy z mło-

tem płatnerza, zawsze ja stanę odważnie w obronie tego, co mi jest drogie jak relikwie męczenników, jak Przenajświętszy Sakrament!

— Teraz tyś mi bratem!—wykrzyknął Jurek i uścisnął go.

Przy wieczerzy Sęp był tego dnia tak ponury, iż żadne z dzieci odezwać się nie śmiało. Wcześniej też, niż zwykle na spoczynek się udali, lecz Jerzy długo usnąć nie mógł; najlżejszy szmer płoszył mu sen z powiek. Siadał wówczas na posłaniu i nasłuchiwał.

— Może już jadą—szeptał sam do siebie—oby jako zwycięzcy—dodawał z westchnieniem.

Szmer cichł, on zawiedziony przykładał głowę do poduszki i znowu napróżno usnąć usiłował. Nad rankiem zerwał się na równe nogi z posłania, ale tym razem nie cichy szmer go zbudził, lecz jakiś dziwnie posępny hałas; zdawało się, że domkiem płatnerza ręka olbrzyma wstrząsa, że coś huczy pod nim, coś szumi i skarży się koło niego. Podszedł przeto do okna i wypatrywać począł: przez gałęzie drzew gęsto rosnących w ogródku, zobaczył przesuwające się spiesznie ulicą przedmieścia jakieś cienie—to wzmogło bardziej jeszcze jego niepokój. Bosy, nawpół ubrany, pośpieszył na ganek.

Tam zastał ojca w kożuchu i w czapce baraniej. Blady posępny Sęp tak był zapatrzony w dal, że wszystkie inne jego zmysły były nieczynne; syna nie usłyszał. Jerzy stanął tuż obok niego i patrzał także. Niebawem ożywienie zniknęło z jego oczu, a natomiast przerażenie odmalowało się w nich: ujrzał ulicą przedmieścia jadących cwałem rycerzy. Zdawali się uciekać przed czemś strasznem, potwornem, gdyż pędzili bez pamięci: ten w biegu zgubił widocznie hełm, ów tarczę, tamten kopiję, inny chyba całą zbroję. Większość nie miała teraz pancerzy na sobie, a chłopiec pamiętał, że jadąc na bój, kilku tylko było w adamaszkach i aksamitach. Poznawał twarze tych, którzy parę miesięcy temu noc u nich spędzili, próżno szukał oczyma sztandarów, rydwanów, wozów ze skrzyniami i dział, tylko jeźdźcy wylękli, odarci i posępni pędzili ulicą, gnani trwogą najwyższą.

Patrzał zrazu zdziwiony, potem łzy poczęły mu nabiegać do oczu; nareszcie łkaniem wybuchnął. Teraz dopiero spostrzegł go ojciec i zwrócił ku niemu pełne smutku spojrzenie.

— Cicho—szepnął—kładąc dłoń na jego ramieniu—nie szerz w domu popłochu; pójdę

się dowiedzieć, co się stało. Bodajby krążące od dni kilku pogłoski, mylne były.

Jerzy uchwycił jego rękę i do ust poniósł.

— Weźcie mnie ze sobą, tatusiu—rzekł.

— Pilnuj warsztatu, póki nie wrócę — odparł Sęp—czeladź zagnaj do roboty.

Jurek westchnął, lecz nie nalegał więcej; stary poszedł przybrać się stosownie. Jeszcze chłopiec stał na ganku, gdy ukazał się z powrotem. Miał teraz ciemny żupan na sobie, siwy kontusz, pas czarny i czapkę sobolową w ręku.

— Na pogrzeb idziecie? — zapytał Jerzy obejmując wzrokiem ten żałobny strój ojca.

— Alboż to nie pogrzeb!—odparł Sęp, rękę w kierunku ulicy wyciągnąwszy.—Idź czeladź obudzić—dodał — zbroje rychło będą potrzebne.

Jerzy ruszył ku warsztatowi i zastąpił w nim energicznie ojca, lecz jakże dzień długim mu się wydawał! Co chwila wysyłał brata do domu, szepcząc mu.

— Idź, zobacz czy ojciec wrócił.

Ale Sęp nie zjawiał się: zjedli obiad bez niego, i doczekali wieczora w tęsknocie. Właśnie w jadalni na ostatni posiłek się zebrali, gdy

przyszedł wreszcie wyczekiwany. Starsze dziewczęta i chłopcy skoczyli do niego z radością: on czapkę Jolancie powierzył, Jerzemu kij sękaty, siadł przed talerzem napełnionym mlekiem warzonem i łokieć o stół wsparłszy, położył głowę na dłoni. W oczach jego paliły się błyski posępne, usta zaciskał, jak gdyby z bólu. Nikt go pytaniem nie zaczepiał, nawet żona, nikt wieczerzy nie rozpoczynał; patrzyli po sobie i szeptali... Ocknął się wreszcie i powiódł smętnem spojrzeniem po dzieciach: teraz lśniły oczy jego wzruszeniem łzawem. Zatrzymał wzrok na żonie.

— Od jutra rozpocznij czynić zapasy żywności—rzekł—gromadź ze wsi okolicznych do naszej śpiżarni co tylko się da przez dłuższy czas przechować. Grosza nie poskąpię ci z pewnością, bo gdy wróg miasto otoczy, żywność się przyda, a grosz mniej.

— Więc miastu grozi oblężenie? — spytała nieśmiało Sępowa.

On zmarszczył czoło, brwi nastrzępił; chwilę milczeli, poczem mówić począł:

— Pod Pilawcami spotkała naszych hańba, rozłożyli się tam obozem, czekając nieprzyjaciela. Chmielnicki nadciągnął niebawem z pod

Konstantynowa. Rozpoczęto harce, które najczęściej kończyły się dla naszych pomyślnie: drobne to były utarczki, nie trwały nigdy dłużej nad parę godzin—nocą spoczywano spokojnie... Aż tu wieczora jednego schwytali szpiega, który dobrowolnie opowiedział, iż do Chmielnickiego obozu przybył Tuhaj bej z ordą z 40,000 Tatarów się składającą. Strach zajrzał każdemu do serca, lecz ukrywali to uczucie jedni przed drugimi i poszli jak zwykle, spać. Tymczasem o północy zbudził ich okropny huk: sto dział biło jednocześnie od strony wroga, a z hukiem tym mięszały się krzyki złowróżbne: „hałła! hałła!"... Nie zdając sobie sprawy, z tego co czynią, idąc za popędem jedynie instynktu, panowie wypadli z namiotów, wskoczyli na konie i poczęli uciekać z pod Pilawic, zostawiając na łup nieprzyjacielowi niezmierne kosztowności w złocie i drogich szatach, broń, amunicyę, działa i chorągwie...

— Nikt u nas podobnego sromu nie pamięta— szepnęła Sępowa i westchnęła ciężko.

— Chmielnicki chyba naumyślnie kazał bić z tylu dział naraz—ciągnął dalej płatnerz—nie gonił on uciekających, lecz posunął się ich śladami zwolna, zdobywając po drodze grody, ra-

bując wsie... Mówią, iż lada chwila spodziewać się go tutaj możemy.

— Niechaj przyjdzie: powitamy go, jak na to zasłużył—szepnął Jerzy i uśmiech przewinął się po jego ustach.

Jolanta podniosła oczy ku obrazowi Bogarodzicy na ścianie wiszącemu.

— Najświętsza Panno, otocz nas swoim płaszczem!—rzekła.

Zuzia i młodsze dziewczęta tuliły się do matki, a maleńki spał sobie spokojnie w kołyseczce.

— Jutro mamy się zebrać na radę w refektarzu ks. Bernardynów—począł po chwili znowu Sęp — książę Wiśniowiecki i jenerał artyleryi Arciszewski wrócili pierwsi; inni ściągają powoli. Lud snuje się po ulicach miasta całemi gromadami z jękiem, ze szlochaniem: „Ratujcie nas, wołają“. Panowie powracają, rwą suknie na sobie, płaczą i zaklinają się przed nami, że nie oni winni są porażce, że siły wroga były zawielkie.

— Wolałbym był na ich miejscu zginąć chlubnie—szepnął Jerzy.

— Może i lepiej się stało, że uszli—odezwał się Bolek—teraz służyć będą sprawie naszej.

— A jakiemi oczyma patrzą na lud wodzowie?—zapytał ojca Jerzy—chyba nie śmią nań patrzeć.

— Ostroróg szedł ze spuszczonemi oczyma do pałacu arcybiskupa, gdzie wodzom mieszkanie naznaczono—odparł Sęp.—Zasławski w zasłoniętej karecie dojechał, Koniecpolski minął tylko miasto i dalej podążył.

— Alboż oni tylko winni?—wmięszała się do rozmowy Jolanta.—Wszyscy winni, bo wiary w moc Bożą w sercach nie mieli.

— Masz słuszność dzieweczko—rzekł Sęp—wszyscy winni; lecz oni jako wodzowie są odpowiedzialni za innych; hańba na nich wszystkich ciąży.

Późno tego wieczora rozeszli się mieszkańcy dworku płatnerza na spoczynek. Nazajutrz obudziły ich o świcie głosy dzwonów, które na trwogę uderzyły. W całem mieście powstał popłoch, a także na przedmieściach. Sęp z trudnością uspokoił żonę i dzieci, zapewniając je, że to tylko znak aby wszyscy mieli się na baczności, bo niebezpieczeństwo się zbliża. Warsztatu tego dnia nie kazał otwierać; polecił synom, aby świątecznie się przybrali i zabrał ich ze sobą do miasta. Służbie przykazał, aby spełniała pilnie roz-

kazy pani. Sępowa poleciła Jolancie dzieci, poczem wspólnie z Zuzią zajęła się zakupieniem żywności: wysłały pachołków na wieś po drób, mięso wołowe, piwo i wódkę; ładowały śpiżarnię i piwnicę przyniesionemi prowiantami; liczyły pieniądze, klejnoty i srebro, jakie były w domu. W innych dworkach w mieście całem, większość niewiast czyniła toż samo. Wiele osób spędzało niemal całe dnie w kościołach, wzywając miłosierdzia Bożego.

Tymczasem Sęp obszedł ulice miasta, po których włóczyli się żołnierze z rozbitego hufca. Zaczepiał ich pytaniami; oni opowiadali im o strasznej nocy, w której strach zakradł się do ich serc i stał się potem przyczyną sromoty.

—Wodzów wina—mówili—nie umieli zachęcić nas do walki na śmierć i stało się nieszczęście.

— Nie dziwota: jeden już za stary był na wodza, drugi za młody, trzeci w księgach umie czytać, ale szablą włada niewprawnie—tłomaczyli klęskę inni.

— *Pierzyna, dziecina i łacina* dowodziły pod Piławcami, to i pobili nas kozacy bez walki—z goryczą odzywali się ci i owi, a niektórzy grozili.

— Jeśli głównym wodzem nie obiorą teraz księcia Wiśniowieckiego i zaległego żołdu nam nie wypłacą, rzucimy służbę.

Około południa Sęp kazał wrócić synom do domu, sam zaś udał się do kościoła OO. Bernardynów. Już zastał tam zebraną radę miejską. Wessel, Pac, Myszkowski i Łaszcz, siedzieli zasępieni w krzesłach, otaczających stół zielonem suknem zasłany; naprzeciw nich mieszczanie zajęli ławy. Sęp siadł pomiędzy tymi. Niebawem zjawili się Ostroróg, Zasławski i Radziejowski; poczęli rozprawiać o obronie miasta. Rada uznała, iż przedewszystkiem trzeba zgromadzić potrzebny grosz na zakupienie broni, amunicyi i zapasów żywności, oraz na zaspokojenie żołnierza, dopominającego się o żołd niezapłacony.

Kupcy i rzemieślnicy przyrzekali, iż niebawem dostarczą potrzebną sumę.

Wtem rozwarły się drzwi przedsionka kościoła i dwie niewiasty weszły do świątyni; jedna w świeckiej szacie brunatnej, w czarnym czepcu na głowie którego rąbek na czoło jej spadał, druga w habicie Karmelitanek. Niosły każda szkatułki okute, które ciężkiemi się być zdawały.

Zdziwieni ukazaniem się białych-głów na radzie, panowie zamilkli i czekali co im powiedzą,



Kościół Bernardynów we Lwowie

one niezmięszane ich wzrokiem badawczym, przystąpiły zwolna do koła obradującego i postawiły stołki na stole, poczem owa niewiasta w świeckiej szacie odezwała się poważnym głosem.

— Los kraju rodzinnego zarówno niewiastę jako was mężów obchodzi. I nas ta ziemia żywi swoim chlebem, i nas darzy swojemi owocami. Wy ją bronicie orężem, nam obyczaj zabrania brać do ręki oręż, więc dajemy pieniądz potrzebny rycerzom... Imię moje Katarzyna Słomińska; wdową jestem bezdzietną, niewiele potrzeba mi, żebym śmierci doczekała. Weźcie panowie mój majątek w złocie i klejnotach i użyjcie go jako zechcecie; na obronę ojczyzny chętnie oddaję mój posag. Piećdziesięcioletnią niewiastą jestem, wolno mi rozporządzać tem, co mi ojciec zostawił.

— Weźcie i to złoto, jakie siostry Karmelitanki przezemnie wam przysyłają—dodała zakonnica, spuściwszy oczy.—Ale na Boga, na świętych patronów kraju naszego, zaklinamy was, spełnijcie wolę ludu i rycerstwa; postawcie na czele wojska księcia Jeremiego.

To rzekłszy, oddaliły się; panowie spojrzeli po sobie. Zacny czyn niewiast, oniemił ich na chwilę, lecz niebawem powstała w kościele wrza-

wa, tem większa, że piękny przykład obudził szlachetne uczucia w sercu każdego. Więc poczęli radzić ze zdwojonym zapałem, z wiarą, że obronią miasto... Gdy wieczorem Sęp powrócił do domu, twarz miał pogodną.

— Głównym wodzem wojska obraliśmy księcia Wiśniowieckiego — rzekł witając żonę i dzieci — i siadł do stołu razem z wszystkimi. Bóg da, że się obronimy.—Pierwszem naszem zadaniem jest, zebrać potrzebną sumę na uzbrojenie wojska i zakupienie amunicyi, boć pod Piławcami wszystko pogubili; lecz tuszę, iż tego dokonamy rychło. Nie brak we Lwowie, dzięki Niebu, złota i srebra, a sobków niewielu liczy miasto...

I zebrali w istocie wkrótce potrzebną sumę. Dnia jednego przyniósł tę pomyślną wiadomość Sęp żonie i dzieciom, a nazajutrz kazał warsztat otworzyć i zwołał czeladź do roboty; około południa zaś wstawszy od obiadu, rzekł do synów.

— Zastąpcie mnie na parę godzin w robocie: pójdę zasięgnąć języka.

Poszedł i wrócił dopiero w nocy; mimo to zastał całą rodzinę zebraną w jadalni przy oknie. Czekali widocznie na niego, ale z twarzy wyczytał, iż czekają go ze złą wieścią.

— A wam co?—zapytał.

— Jakto, nic jeszcze nie wiesz? Jeremi Wiszniowiecki nas zdradził—odezwała się Sępowa.

On czoło nachmurzył.

— Zdradził?— powtórzył zdumiony.

— Na obronę Lwowa ofiarowane przez miasto pieniądze zabrał i opuścił nas; podobno do Zamościa się udał, mówiąc że to twierdza ważna, a grozi jej niebezpieczeństwo—odezwał się Jerzy.

Hania Kosówna przyniosła nam tę wieść — dodała Zuzia.

I prawdziwą przyniosła, aliście jej niezrozumieli—odezwał się wreszcie Sęp.—Wistocie, Jeremi zabrał pieniądze i pospieszył bronić Zamość, bo tak trzeba było uczynić, bo musiał tam podążyć... Lwów toć dopiero cząsteczka tej wielkiej, pięknej ziemi, którą kochamy wszyscy, która nas żywi i odziewa. Jeremi poszedł bronić całej tej ziemi, myśmy złożyli ofiary na obronę ojczyzny naszej, nie zaś jednego jej miasta. . Zrozumiejcież przecie, że jeśli cały kraj popadnie w niewolę, to i Lwów się nie ostoi; jeśli zaś Lwów dostanie się w moc wroga, a cały kraj pokona nieprzyjaciół, to odbiorą im nasze miasto.

Słowa te trafiły do przekonania wszystkim; poczęli dopytywać kiedy książę opuścił miasto.

— Jeszcze wczoraj: —odpowiedział im Sęp— mieliśmy już list od niego. Ostrzega nas, iż Tatarzy ciągną ku nam; przysłał miastu na obronę rotmistrza Cichockiego z pocztem złożonym z pięćdziesięciu dragonów; trzeba będzie iść niedługo na wały i czekać nieprzyjaciela. Jerzego wezmę ze sobą Chłopiec przyskoczył do ojca i wzruszony objął jego kolana.

— I ja mam ochotę pójść z wami, ojcze— odezwał się Bolek nieśmiało.

— Bronić ci nie będę—odparł Sęp — masz już wszakże lat pietnaście. Lecz spostrzegł, że w oczach matki łzy się kręcą.

— Da Bóg, iż wrócą do domu, szwanku nie poniósłszy—rzekł do niej.—A jeśli zginą, wola Boża! Najmłodszy otoczy naszą starość opieką i rodu głową zostanie.

Matka otarła ukradkiem powieki i nie mówili już więcej o Tatarach, lub obronie miasta — a po modlitwie rozeszli się na spoczynek.

Coś w parę dni potem, gdy wieczora jednego siedzieli wszyscy w jadalni, Donia pociągnąwszy Jolantę za suknię, szepnęła do niej.

— Patrz jakie niebo czerwone.

Jolanta spojrzała i zbladła.

— Pożar w mieście, ojcze!—rzekła.

Sęp przystąpił do okna, popatrzał z brwią zmarszczoną.

— To nie w mieście—odparł—poczem skinął na syna starszego.—Daj mi czapkę—dodał—i chodź ze mną.

I wyszli razem: godzin parę nie było ich w domu, wrócili wreszcie. Sęp poważny i smutny, Jerzy z oczyma pałającemi.

— Ta łuna bije od taboru kozackiego; już są bardzo blizko miasta. Teraz spoczywają, więc rozpalili ogniska; jutro o świcie może ich powitamy—rzekł wchodząc do izby.

— Pilno ci było rzucić w serca swoich niepokój—złajał go ojciec.

— Więc to prawda?—spytała Sępowa.

— Tak gadają ludzie. Zobaczymy co nam jutro przyniesie—odparł mąż. —Teraz idźcie spać.

Posłuchali go niechętnie. On sam nie położył się: całą noc krążył koło dworku, nasłuchiwał i wypatrywał; czasami przystawał, a posławszy wzrok w czarną dal, badał obłany krwawem światłem horyzont i szeptał do siebie.

— Wojna! już powiewa twój krwawy sztandar nad nami, macochą ty jesteś ludzkości! Trząsł głową i wzdychał ciężko.

Jerzy długo usnąć nie mógł, lecz za to nad ranem ogarnął go sen twardy. Śniło się mu właśnie, iż jedzie naprzeciw Tatarów z rycerstwem, gdy wtem ktoś szarpnął go silnie za ramię; otworzył oczy—nad nim stał Bolek.

— Idziemy na wały—rzekł do niego.

On zerwał się z pościeli. W izbie jeszcze szary zmrok panował, lecz z poza okien leciał już ponury głos dzwonu na gwałt bijącego, a z dźwiękiem owym jednocześnie, jakiś głuchy szum; można było sądzić, że Pełtew wezbrała i fale rzeki zalewają ulice miasta.

— Gdzie broń? — spytał wytrzeźwiawszy prędko.

Brat podał mu strzelbę: pośpieszyli razem do ogródka, tam połączyli się z ojcem i ku wałom zwrócili. Ulicą przedmieścia, nie Pełtwi, lecz ludu fale płynęły z głośnym gwarem, z szumem posępnym. Kto tylko był zdrów we Lwowie, ten chwycił za oręż i szedł bronić miasto. Obok siwobrodych starców, widać było pietnastoletnich wyrostków, a wszystkich oczy szczerym zapałem świeciły, wszystkie serca przejmowało jedno uczucie: miłość gniazda rodzinnego; jedno postanowienie: nie dopuścić by wróg je zdobył.

Niewiasty, młode dziewczęta i dzieci, odprowadzały mężów, ojców, braci, narzeczonych. Ciche łkania, mięszały się ze słowami pociechy, lub groźby dla najeźdzcy:

— Nie damy się, odeprzemy ich, zmiażdżymy...

Sępowa, zostawiwszy dzieci pod opieką Jolanty, odprowadzała ze starszą córką synów i męża; on dodawał jej otuchy.

— Bądź dobrej myśli—mówił—z wojskiem licząc jest nas w tej chwili 15.000 uzbrojonych; stawimy opór, miasto ocaleje... Ona pełnemi łez oczyma patrzała na niego.

— A nie daj chłopcom bezpotrzebnie lecieć w ogień—mówiła—i sam się nie narażaj.

— Bezpotrzebnie narażać się nie będę, tego bądź pewną, lecz gdy zajdzie potrzeba, nie schowam ani siebie, ani chłopców za plecy innych — odparł—weź dziewczęta i niemowlę, idź z niemi do kościoła Maryi Magdaleny, lub do Karmelitów trzewiczkowych. Tam czekać was będę, gdy odeprzemy wroga. Na noc wracaj zawsze do domu, może i my się zjawimy, a w każdym razie jeden z nas.

Dotarli wreszcie do wałów. Działa paszczami zwrócone ku oczekiwanym, już stały tam

w porządku rozmieszczone. Przy nich puszkarze, za puszkarzami żołnierze i mieszczanie uzbrojeni w szable, oraz rusznice; przy każdym kupiła się jego czeladź w topory, widły, noże i haki zaopatrzona. Sęp uścisnął żonę, na Zuzi czole krzyż nakreślił, a gdy matka pobłogosławiła synów, wszedł z nimi na wały. Popatrzała chwilę na nich Sępowa, zobaczyła gdzie się umieścili, potem wraz przystając i szukając wzrokiem drogich sercu, powlokła się wreszcie do domu. Dzwony na gwałt bijące, ucichły tymczasem, bo nie było kogo budzić: kto bronią władać umiał, ten podążył już na obronę. Mieszczanie i dragoni Wiszniowieckiego, oraz żołnierze tworzący załogę miasta, umieszczali się na stanowiskach każdemu wskazanych i wypatrywali nieprzyjaciela.

— Tatarzy, tatarzy! rozległo się naraz na wałach otaczających przedmieście Halickie. Wistocie, na tle czystych niebios, od strony w której wznosiły się góry Kleporowskie, na szczycie jednego z wierzchołków ukazało się kilku jeźdźców na nizkich konikach, w kożuchach futrem na wierzch wyrzuconych, pochylonych ku grzywom swoich wierzchowców; za kilkoma więcej, jeszcze więcej, nareszcie cała Orda się wysypała.

— Hałła! hałła!—obiło się o niebiosy i Tatarzy poczęli spuszczać się szalonym pędem z góry.

Sęp dobył z kieszeni dalekowidz, w jaki zaopatrzył się z domu wychodząc i począł się przyglądać.

— Chmielnicki też ciągnie—odezwał się po chwili, podając lunetę starszemu synowi.

Chłopak przyłożył narzędzie do oczu i ujrzał na szczycie jednej z gór rycerza w czerwonej sukni, w płaszczu gronostajami podbitym, w kołpaku futrzanym, przy którym świecił brylant wielkości orzecha. Siedział on na białym koniu: jednę dłoń wsparł na biodrze, drugą dzierżył wodze rumaka; u jego boku wisiała szabla, której rękojeść w blaskach wschodzącego słońca mieniła się barwami tęczy od różnorodnych kamyczków drogich, jakiemi utkaną była. Obok tego wspaniałego męża, na zwinnym małym koniku, lekko odziany i lekko uzbrojony jechał młody chłopak z chorągwią w ręku; wiatr rozwiewał sztandar kozacki i ukazywał oczom oblężonych S-go Michała, walczącego ze smokiem.

— Ty smokiem naszym, nie my twoim, mruknęło kilku.

Za Bohdanem Chmielnickim ukazały się całe zastępy kozaków, a jednocześnie wzbiły się

pod niebiosy wołania „Nute małojcy! nute!“. I z tem wołaniem, zbiegłszy z góry, rzucili się razem z Tatarami ku wałom. Działa zawarczały groźno, rozwarły paszczęki i posłały pociski na pnących się ku przedmieściu; nie wstrzymało to wszakże czerni, chociaż ten i ów powalił się na ziemię, inni depcząc po zwalonym poszli dalej... Jerzy wycelował rusznicę, naciągnął korek, strzał wypadł i trafił jednego, który rzuciwszy mu w zamian przekleństwo, cofnął się z jękiem. Ale natychmiast drugi wystąpił na jego miejsce cały kudłaty, jak zwierz dziki i pogroził chłopcu.

— Lacki synu, spalę ja ci dom i życie ci wydrę! — zawarczał i piąć się począł ku niemu. Chłopak nabił strzelbę, wycelował powtórnie, lecz tym razem nie trafił. Rozsmiał się Tatar, wspiął się wyżej; w chłopcu krew zakipiała, oczy jego zamigotały, jak zarzewie. Znowu kurek odciągnął, chciał drugi strzał posłać, gdy wtem silna dłoń Tatara schwyciła jego lufę i w bok skierowała; strzał poszedł, nie przynosząc żadnej korzyści oblężonym, a Tatar jednem targnięciem wyrwał strzelbę z rąk Jerzego, poczem za nogi go ujął i do siebie ciągnąć począł... Niebezpieczeństwo osobiste wlało nadzwyczajne siły w chłopca; schwycił napastnika za bary i moco-

wać się poczęli. Czuł wszakże, że tatar silniejszy, że go opuszcza energija. Pomagał sobie rękoma, paznogciami, lecz coraz słabiej —w tem czyjaś szabla błysnęła nad jego głową i prawie jednocześnie krew ciepła bryznęła mu na ręce. Spojrzał: twarz Tatara wykrzywiła się konwulsyjnie, z głowy jego spływał ku szyi czerwony sznureczek, ramiona drgnęły, wyprostowały się palce, przewrócił białkami i spadł ze szczytu wału ku swoim.

Jerzy obejrzał się, szukając wzrokiem swego zbawcy: Bolesław stał przy nim, więc dłoń ku niemu wyciągnął.

— Zuch jesteś—rzekł—nie posądzałem cię o to.— Tamten uśmiechnął się smętnie.

— Bronić umiem, ale zaczepić nie—odparł. —Przykrość sprawia mi ta walka; tyle krwi, tyle ciał nieruchomych.

— Policzymy je, gdy grzebać będziemy— rzekł Jerzy—teraz daj mi szablę, lub rusznicę, bom rozbrojony, a tyś widzę w podwójną broń zaopatrzony.

Bolesław podał mu bez wahania szablę, Jerzy skoczył na wał i walczył dalej. Coraz więcej było tu i tam trupów, coraz więcej dymu pod niebem, krwi na ziemi, jęków w powietrzu...

Zdala, z konia nie zsiadając, przypatrywał się tej walce Chmielnicki; widać było jednak, iż co chwila jakieś rozkazy wydaje, bo ciągle rękami i ustami porusza; naraz wysunął się naprzód, coś krzyknął, lecz w zgiełku bitwy wyrazy jego utonęły. Oblężeni ujrzeli tylko z wielkiem zdziwieniem, że czerń cofa się od wałów, ustawia jak do pochodu, a w chwil kilka potem szeregi kozackie i tatarskie poczęły się cofać w porządku.

— Tchórze, uciekają! — krzyknęła załoga uradowana.

— Jak nie mają uciekać, kiedy S. Jan z Dukli ukazał się nad nami z mieczem i pogroził im—odezwał się jeden z żołnierzy.

— Widziałeś?—zapytało go kilku.

— Pewno, że widziałem.

— I ja, i ja, potwierdziły to zeznanie inne głosy.

— Jam nic nie widział—szepnął bratu do ucha Jerzy.

— Ja też — odparł Bolesław — widocznie na łaskę nie zasłużyliśmy.

W tej chwili zbliżył się do nich ojciec.

— Chmielnicki chce nas podejść — rzekł — udaje że się cofa. Nie zejdę z walów i namówię

innych, by pozostali; będziemy czuwać. Ale ty Jerzy korzystaj z przerwy walki, poleć do matki, pozdrów ją odemnie, uspokój, że Bóg czuwał nad nami. Niechaj ci opatrzy podrapane przez Tatara ręce i twarz, poczem we dwoje zakopiecie klejnoty i pieniądze nasze w lochu—a gdy to uczynisz, powrócisz do nas. Ty zaś Bolku teraz ze mną zostaniesz; ale jutro, gdybyś spostrzegł rankiem powracającego wroga, natychmiast spiesz do matki z rozkazem odemnie, aby do kościoła S. Magdaleny z dziećmi się schroniła. Gdy zechcesz, powrócisz na wały; jutro rąk będzie tutaj z pewnością brakować.

Nie omyliły go przypuszczenia i nazajutrz powrócił Chmielnicki z siłami zdwojonemi—i walka zawrzała na nowo. Jerzy już stał przy ojcu, więc Bolesław pośpieszył spełnić dane mu jeszcze wieczora poprzedniego zlecenie, a chcąc być spokojnym o matkę i rodzeństwo, odprowadził ją do kościoła. Już docierali do cmentarza, gdy naraz blask krwawy rozlał się na niebie, a z nim krzyki rozpaczy „Gore! gore!" Obejrzeli się i stanęli zdrętwiali: przedmieście zalało jak gdyby morze ogniste; płonęły dworki, ogrody, warsztaty, straszny żywioł pochłaniał ich pracę, ich miłe gniazdo, schronienie cichego ich szczęścia...

Sępowa krzyknęła i wracać chciała ratować mienie, lecz Bolesław zatrzymał ją.

— Myśl o dzieciach matko—rzekł—co ci będzie po sprzętach, jeśli dziatwa zginie! Pieniądze i kosztowności zakopane, mówiłaś, głęboko. Ogień majątku nam nie zabierze; gdy wróg się cofnie, odbudujemy dom i sprzęty kupimy...

Ona uznała słuszność słów jego, poszła dalej. Kościół był już przepełniony, więc na cmentarzu jego została: usiadła wśród mogiłek i grobowców... Niemowlę się rozkrzyczało, Dania i Zosia szlochaniem mu zawtórowały, trzeba było je uciszyć. Wychodząc z domu wzięła ze sobą chleb, ser i wędliny trochę; obdzieliła dziewczęta, niemowlęciu pierś w usta wsunęła i ucichły dzieci, a ona i Zuzia patrzały wzrokiem rozpaczy na kłęby dymu, wznoszące się czarnemi słupami z przedmieścia, na czerwone języki wśród nich migające i słuchały drżące szłochań i dziwnych, okropnych jakichś gwizdów, wrzasków, krzyków przedzierających się z poza owych posępnych kłębów... Jolanta modliła się gorąco pod krzyżem jednej z mogił, Bolek uścisnąwszy matkę i siostry, ku wałom z powrotem pośpieszył; szedł ulicą ciągnącą się po za opłotkami gorejących w tej

chwili ogródków; dym krztusił go, płomienie łubo nie dosięgały, parzyły jednak. Przeciskał się przez tłum kobiet z niemowlętami na ręku, wspartych na ramionach córek, starców niedołężnych, chłopiąt dźwigających szkatuły, zapewne z kosztownościami, lub pieniędzmi wyładowane. Zawodząc głośno, dążyli oni w tę samą stronę, z której on powracał—a coraz to zwracali pełne łez spojrzenia na płonące domostwa. Żal ściskał jego serce, gdy patrzył na nich i zniszczenie rozpościerające się koło niego. Myślał o strasznych następstwach wojny, o tem że nie bez powodu miał do niej urazę. Wtem dreszcz go przebiegł, do uszu jego doleciały głosy, które tylokrotnie na wałach grozą go przejmowały; zrozumiał co znaczyły owe gwizdy i krzyki, jakie wiatr przyniósł mogiłom cmentarza: straszne; „Ałłah! Ałłah!“ zabrzmiało w oddali... Zdrętwiały z przerażenia zatrzymał się w biegu, powiódł okiem w około i dojrzał wysuwających się z płomieni Tatarów... Szaleli z gniewu, bo kiedy udało się im wedrzeć na przedmieście, czyjaś ręka podpaliła drewniane budynki, tam się wznoszące, pozbawiając ich łupów i zmuszając cofnąć się. Garść odważniejsza przedarła się przez płomienie i pędziła teraz ku kościołko-

wi S. Magdaleny, goniąc uchodzącą tam ludność. Matka, siostry, maleńki braciszek, stanęli w pamięci Bolka, ogarnął w jednej chwili myślą grożące im niebezpieczeństwo. Nagle odzyskał energiję, zerwał się i pędzić począł z powrotem na cmentarz... Ostrzedz tych, których kochał, uprowadzić ich w bezpieczne miejsce, to był jego cel, to była jedyna myśl którą był wstanie teraz rozumieć... Poczuł jedno, drugie ukłócie w plecy, w głowę: to strzały tatarskie wołały na niego: „cofaj się“. Ale on nie zważał na owo wołanie: poczuł krew ciepłą spływającą mu po szyi, pod suknią, lecz nie zdawał sobie sprawy, jakie mają być tego następstwa. Biegł dalej, gnany jednem pragnieniem, jedną tylko troską... Naraz jakaś ciemna zasłona spadła mu na oczy, nogi jego zachwiały się, w głowie zaszumiało, potoczył się, padł na ziemię i widział nadbiegających ku sobie Tatarów, a nie miał siły się dźwignąć. Czuł, że go minęli, bo nie jedna stopa pierś mu przygniotła, a nie był wstanie zepchnąć barbarzyńców... I słyszał jak od cmentarza lecą straszne, okropne jęki mordowanych, błagania i krzyki rozpaczy matek, a nie mógł pospieszyć im z pomocą i myślał o tych, któ-

rych tak bardzo kochał, a nic uczynić dla nich nie był zdolen... Potem i słuch go opuścił i przed wzrokiem jego ostatecznie pociemniało. Leżał nieruchomy, cichy, obojętny już na wszystko to... Morze ogniste rozlewało się coraz szerzej na przedmieściu; czerwona fala zbliżała się powoli ku niemu, jak po swoją niezawodną zdobycz—on czekał na nią nieruchomy, ukołysany wiecznym snem śmierci.

III.

Dzielnie walczyli na wałach mieszkańcy Lwowa; uparcie dobijali się do starego grodu Halicza Kozacy; z górnych stron atakowali miasto; szturmowali górny zamek, klasztory: przedmiejski i katedrę Św. Jura, lecz wszędzie energiczny opór napotkali; gdy na które przedmieście się wdarli, wnet czyjaś dłoń niewidzialna je podpalała i uchodzić coprędzej musieli...

Sęp i syn jego do odważniejszych należeli; prawie nie odpoczywali w walce, a kule wroga zdawały się ich lękać.

— Czego ten Bolek od nas odbiegł—odezwał się pewnego ranka Jerzy do ojca — toć miał tu wrócić, Kto wie, czy tutaj nie jest bezpieczniej; pociski nas omijają...

Jeszeze nie domówił ostatniego wyrazu, gdy naraz krzyk wyrwał się z jego ust; zachwiał się i padł u nóg ojca, jak kwiat podcięty kosą, pada u nóg kosiarza. Sępowi szabla wypadła z dłoni, pochwycił chłopca na ręce i zbiegł z nim z wałów; inny go zastąpił. Mieniali się chwilami, gdy spocząć, lub posilić się chcieli. Jemu nie o chleb, lub spoczynek szło teraz, lecz o życie dziecka. Jerzy zbladł, zesztywniał, leżał na jego ramionach rozkrzyżowany; chciał odnieść go do szpitala, który znajdował się przy kościele Św. Magdaleny, licząc iż tam powierzy go matce... Szedł spiesznie przez puste przedmieście, nie bolejąc nad zgliszczami, jakie mijał, nie czując ciężaru który dźwigał; dusza jego cała była zatopiona w tym jego ukochanym, dzielnym chłopcu... Dotarł bez przeszkody do szpitala; u wrót służba odebrała mu syna, on wszakże poszedł za nim aż do

łóżka, na którem go złożyli i czekał co lekarz powie; ten zjawił się niebawem, zbadał rannego.

— Żyje — rzekł niemal wesoło — omdlał tylko: rana nie jest niebezpieczną, za kilka dni chłopak wstanie z łóżka.

Teraz dopiero z oczu Sępa stoczyła się łza ciężka, otarł ją wszakże pośpiesznie rękawem kontusza i rozejrzał się przytomnie w około, licząc innych rannych.

— Jolanta!—wykrzyknął naraz.—Tuż przy rannym stała w szacie zakonnej młoda dziewczynka i zimną wodą trzeźwiła Jerzego. On właśnie oczy otworzył, więc napoiła go winem, poczem do ojca się zwróciła z pieszczotą.

— Nie wszystkich Bóg mi zabrał—rzekła głosem wzruszonym.

Sęp przytulił ją do serca.

— A gdzie tamci? — zapytał — zaniepokojony jej słowami.

— W niebie—odparła cicho—byliśmy na cmentarzu, gdy wpadli Tatarzy.

Więcej nie dopowiedziała, lecz on domyślił się reszty. Ciężkie westchnienie wydarło się z jego piersi, zwiesił głowę. Chwilę stał, jak-

gdyby nieprzytomny, odurzony ciosem który weń uderzył...

Jerzy patrzał na nich zamyślonemi oczyma, nie rozumiejąc o czem szeptali. Przypominał sobie, co go spotkało na wale—i dziwił się, jak się dostał do szpitala.

Ocknął się nareszcie Sęp, uścisnął powtórnie córkę.

— Boża wola—rzekł z pokorą — jeszczem nie zupełnie osierocony; jest za co podziękować Panu. Czuwaj nad bratem Jolanto, ja na wały wracać muszę...

I pożegnał syna, poczem na stanowisko pospieszył, ale tam zastał ciszę... powiedziano mu, że Chmielnicki przysłał do załogi gońca z listem:

Poza wałem ujrzał sterczącą wysoką żerdź, na niej list zatknięty opodal stojącego młodego kozaka z białą chorągwią... Po naradzie załoga wysłała dwu mieszczan po ów list. Wrócili niebawem i przeczytali wszystkim głośno pismo Chmielnickiego. Domagał się on od miasta wydania Wiśniowieckiego i tych, którzy walczyli pod Pilowcami; w zamian obiecywał odstąpić od miasta. Łatwa była odpowiedź na to żądanie, żadnej narady nie potrzebowa-

ła. Odpisali oblężeni, iż Wiśniowieckiego i tych którzy byli pod Pilowcami, niema we Lwowie... Lecz hetman kozaków snać tej odpowiedzi nie uwierzył, bo szturm jeszcze natarczywszy przypuścił i całą noc nie ustawało strzelanie. O świcie rozległy się na ulicach miasta krzyki rozpaczy. Kozacy zdobyli bowiem klasztor Karmelitów i wymordowali wszystkich, którzy ze spalonych przedmieść tam się schronili. Położenie stawało się coraz groźniejszem, o poddaniu mimo to nikt nie wspominał. Rada zebrała się do kościoła OO. Bernardynów, lecz po to tylko, by rozważyć jaką drogą dostarczyć miastu żywności, której zapasy wyczerpywały się. Wtem drzwi kościoła rozwarły się zwolna i wszedł poważnym krokiem Sęp; osmolona dymem bojowym jego twarz, pyłem pokryte i krwią obryzgane suknie, powiedziały od razu łownikom skąd przybywa... Skłoniwszy się im z godnością, Sęp wyciągnął ku nim rękę z jakimś listem i rzekł:

— Poraz już wtóry kusi nas wróg do zgody; wczoraj postawił takie żądanie, iż bez odwoływania się do rady odpowiedzieć na nie mogliśmy. Chciał bowiem, abyśmy mu wydali tych, których niema w mieście. Dziś nasze po-

stanowienie potrzebuje potwierdzenia władzy, bo możliwem do spełnienia jest żądanie wroga, a my spełnić go nie chcemy.

Najstarszy z rady, poważny Andrzej Wachlowicz, godność „konsula“ spełniający, odebrał list i przeczytał głośno: Chmielnicki tymrazem żądał wydania w jego ręce wszystkich żydów w mieście się znajdujących, oskarżając ich, iż dostarczali miastu pieniędzy na obronę.

— Za to też za braci ich uznajemy—rzekł Wachlowicz, skończywszy czytać—czy takie jest zdanie tych, którzy walczą w obronie miasta? —dodał zwróciwszy się do Sępa.

— Takie—zabrzmiała odpowiedź.

— I nasze nie inne—odezwali się jednym głosem ławnicy.

— A więc odpowiedź gotowa, niechaj który z panów weźmie pióro do ręki i napisze te słowa—odezwał się znowu Wachlowicz: „Żydzi są poddanymi króla i Rzeczypospolitej, a nie miasta, wydać ich przeto nie możemy bez pozwolenia króla i sejmu. Żydzi dzielą z miastem jego niebezpieczeństwo i koszta, gotowi są z chrześcijanami żyć i umierać: chrześcijanie braci nie zdradzą“.

Taką odpowiedź poniósł Sęp na wały i posłano ją natychmiast Chmielnickiemu. Wszyscy byli pewni, iż lada chwila strzały tatarskie i kozackie działa rozpoczną na nowo swą czynność, tymczasem omylili się. Chmielnicki nie ponowił szturmu: wieczór i noc upłynęły spokojnie, a z brzaskiem dnia u bramy miasta stanął dostojny poseł tym razem, rodzony szwagier Chmielnickiego, Teodor Rodkiewicz, który otoczony starszyzną żądał widzenia się osobistego z dowódzcą załogi. A gdy ten wyszedł do niego, oznajmił mu, iż Chmielnicki żąda 200,000 dukatów okupu, że obiecuje cofnąć się z pod murów miasta, skoro tę sumę otrzyma.

I znowu trzeba było iść, zapytać o zdanie rady. Korzystając z zawieszenia broni, Sęp do dzieci pospieszył. Zastał Jerzego już siedzącego, przy nim Jolantę i jakąś dziecinę sześcioletnią.

— A to co za nieboże?—zapytał, wskazawszy na małą.

Jolanta objęła ramieniem dziecko i do siebie je przygarnęła.

— Sierota—odparła;—gdy Tatarzy wpadli na cmentarz kościoła Św. Magdaleny, jam się modliła. Przelecieli koło mnie, nie widząc, gdyż

żaden szablą mnie nie tknął nawet; wymordowawszy innych, oddalili się. W okół pokrwawione trupy mnie otaczały; byłam pewną że i ja do umarłych się liczę, bo ni ruszyć się z miejsca nie mogłam, ni głosu z piersi dobyć. Wtem posłyszałam czyjeś krwilenie, to mnie otrzeźwiło; rozejrzałam się przytomniej znowu w okół; o parę kroków od siebie spostrzegłam tę maleńką, więc uprowadziłam ją ze sobą z tego okropnego miejsca... Ty jej nie odepchniesz, —dodała patrząc błagalnie na ojca—ona nam Danię przypominać będzie.

W miejsce odpowiedzi, Sęp wziął dziecko na ręce.

— Danusia moja—szepnął wzruszony.

— Ja nie Dania ale Basiunia — odparło wdzięcząc się dziecko.

— Bądź czem chcesz, ja ci zawsze ojcem będę—rzekł Sęp całując ją, poczem zwrócił się do córki i syna.—Przyszedłem po was—rzekł,—jest nadzieja, iż wróg odstąpi od miasta, bo już tylko okupu żąda. Mamy zebrać potrzebną sumę; trzeba pieniądze i klejnoty dobyć z ukrycia. Czy jesteś wstanie iść ze mną?—zapytał Jerzego.

— Sprobuję—odparł ranny.

I poszli we czworo; Sęp zabrał rydel ze sobą. Gdy dotarli na przedmieście Halickie, Jerzy przystanął i pełnym przerażenia wzrokiem rozejrzał się po zgliszczach i popiołach, dawniej pełnych wesela, gwaru i zieleni dworków.

— Straszna to rzecz, wojna—szepnął.

— Straszna—powtórzyła Jolanta.

— To hydra ludzkości—dorzucił Sęp.

Trafili od razu do swoich ruin i stanęli nad niemi smutnie zadumani. Ciche łzy potoczyły się z ich oczu; uklękli i zmówili pacierz jakby na cmentarzu, bo też to był grób ich szczęśliwej przeszłości. Powstawszy, Sęp począł kopać Nie głęboko były schowane szkatułki: dobył je przeto z łatwością.

— Klejnoty oddam na okup miasta—rzekł —pieniądze dla siebie użyję; zbudujemy nowe gniazdo. Ty Jerzy nową w nim rodzinę założysz.

— Ałe to gniazdo przypominać nam będzie dawne, milsze i weselsze: smutek osiądzie w głębi serc naszych i tęsknić będziemy za tymi, których śmierć nam wydarła—nieśmiało odezwała się Jolanta.

Sęp westchnął ciężko, łzy błyszczały w jego oczach.

— Zbuduję nowy warsztat, wrócimy do pracy—odparł — praca da chleb ciału i pokój duszy.

Jolanta spostrzegła, iż cierpiał, lubo pocieszyć ich usiłował; więc objęła go ramieniem.

— Będę usiłować rozjaśnić osieroconą twą starość, ojcze—rzekła—przywdziałam habit, aby Bóg nas miał w swej pieczy; lecz jeszcze ślubów zakonnych nie wykonałam. Będę więc czuwać nad tobą ojcze, będę się krzątać czynnie w domu twoim i Basiunię hodować, tylko mi nie każ zdejmować sukni, jaką mam na sobie.

Sęp pocałował ją w czoło.

— Czyń jakoś powiedziała—odparł.

Licznie zebrała się nazajutrz rada. Poleciwszy Jolancie Jerzego, który po wrażeniach doznanych czuł się gorzej—wziąwszy skrzynkę z klejnotami, Sęp pospieszył do OO. Bernardynów. W kościele zastał tłoczących się mieszczan, a każdy przyniósł coś ze sobą. Ci którzy klejnotów i sreber nie mieli, wyroby własnych warsztatów, lub towary ze sklepu. Rada oceniła wszystko: obliczono, że do 100 tysięcy dukatów zebrano. Wówczas polecono kilku posłom odnieść klejnoty i towary do obozu Chmiel-

nickiego i zanieść doń jednocześnie prośbę, aby więcej nie żądał od miasta. Wybrani zostali do spełnienia tej misyi: Andrzej Wachlowicz, Samuel Koszewicz, Krysztof Sachnowicz, Sęp i paru jeszcze. Jolanta poszła przypatrzeć się uroczystemu pochodowi posłów—namówił ją Jerzy, który sam iść nie mógł, bo rana jego zakrwawiła się na nowo.

— Opowiesz mi, coś widziała—rzekł do niej.

— Poślij za nimi modlitwę, by wzruszyli serce wroga—odparła Jolanta.

I odprowadziła posłów, aż do bramy krakowskiej. Wspaniale przy broni szli w uroczystym pochodzie, za nimi toczył się wóz wyładowany daninami. Za bramą czekało posłów dwóch ze starszyzny kozackiej i poprowadzili ich do kwatery wojskowej Chmielnickiego, gdzie kazano im koni dosiąść i jechać aż do Lisienic, włości milę za Lwowem leżącej—tam bowiem hetman się cofnął. Dotarli wreszcie do celu: w wielkiej liczbie. Starszyzną otoczony przyjął ich Bohdan: posępny, jak chmura, siedział w wielkiem krześle rzeźbionem, z brodą w pięści utkwioną, z łokciem o poręcz krzesła opartem. Posłowie weszli parami, za nimi pachoł-

cy, którzy skrzynie zdjęte z wozu dźwigali: skłonili się mu z godnością, on ledwo raczył skinąć głową w odpowiedzi... Wachlowicz wystąpiwszy naprzód, przemówił drżącym od wzruszenia głosem.

— Co miasto mogło, to zebrało; pieniędzy nam brak, więc srebro i klejnoty niesiemy, oceniliśmy złożone dary na sumę 100,000 dukatów, więcej dać miasto nie jest wstanie...

Chmielnicki nastrzępił tylko srożej brwi, lecz postawy nie zmienił.

— Żądałem 200,000 i od tej sumy nie ustąpię — odparł.

— O tem żądaniu wszyscy wiedzieliśmy— rzekł poseł, lecz tuszyliśmy, iż zmiękczym twe serce panie... Toć wszystkie nasze przedmieścia spłonęły, tysiące rodzin w nędzy; musieli inni coś grosza zostawić, by mieć czem własne dziatki żywić i tych, którzy wszystko w tej nawałnicy stracili... Tuszymy, iż ulitujesz się nad niewiastami i dziatwą miasta naszego — odezwali się inni, a gdy to mówili, łzy pociekli im z oczu.

— Nie do mnie miejcie żal, ale do tych, którzy tę nawałnicę na was ściągnęli—odparł ponuro Chmielnicki—jam żądanie już postawił i nie zmienię.

— A my póty cię błagać będziemy, póki cię nie zmiękczymy—odparli posłowie i klękli wszyscy.

— Ulituj się nad niewinnymi—ozwali się razem — miej serce dla tych, którzy nie grzeszyli przeciw tobie.

— Nie mam go i mieć nie chcę! — krzyknął okrutny zwycięzca, poczem wzrokiem wzgardy pełnym obrzucił korzących się u nóg jego. Chwilę zdawał się lubować obrazem, jaki miał przed sobą, nareszcie—dodał.—Dość z siebie czynię, iż Waszmoście przy życiu zostawiam i szabli mojej na wasze karki nie dobywam. Jestto wielkie miłosierdzie, za co nie omieszkajcie mi przysłać 200,000 czerwonych złotych.

Gniew i obraza słuszna zakipiały w sercach posłów, powstali wszyscy.

— Jutro resztę okupu przyślemy — rzekł Wachlowicz—dłużej upokarzać się nie możemy; nie powie miasto, żeśmy nie mieli dla dzieci jego serca. Uczyniliśmy więcej, niż powinniśmy byli uczynić. Ale powie Bóg, sędzia sprawiedliwy, żeś godzien kary!

To powiedziawszy, oddalili się.. Wieczór zapadał, gdy Sęp zjawił się w szpitalu Św. Magdaleny.

— Gdzie skrzynka z pieniędzmi?—zapytał córkę.

Jolanta podała mu ją: odebrał z jej rąk skwapliwie ciężar i nie mówiąc gdzie idzie, poco zabiera pieniądze oddalił się szybko. Ze szpitala skierował się wprost do kościoła OO. Bernardynów; tam znowu rada była zebraną. Wszedł, z nim razem wielu innych, a każdy, jak on, dźwigał ostatek fortuny, całe mienie swoje i przystępowali kolejno do stołu i składali ostatni grosz, chleb jutrzejszy, dach jaki zbudować sobie mieli—wszystko swoje... Przystępowali z twarzami białemi, jak płatki śniegu, ale z duchami podniesionymi, ze spokojem w oczach.

Rada obliczyła złożony grosz: okazało się go zawiele; nadwyżkę złożono do jednej szkatuły i oddano ją pod opiekę Wachlowicza, miał to być wspólny kapitał, z którego wolno było czerpać tylko dla wspomagania tych, których burza gniazd rodzinnych pozbawiła, lub uczyniła kalekami.

W kilka dni potem Chmielnicki odstąpił od Lwowa.

*   *
*

Minęła zima, w kraju wojna jeszcze nie ustała, lecz Lwów nie był więcej niepokojony... Jolanta wracała z garnuszkami od ojca. Sęp za otrzymane pieniądze od rady, zbudował sobie na gruzach spalonego, nowy warsztat. Roboty mu nie brakło, więc już uciułał trochę grosza i zamyślał o wystawieniu dworku, tymczasem mieszkali w mieście, oszczędzali na czem tylko mogli, by poniesione straty powetować i Jerzy zastępował w warsztacie czeladników. Jolanta z Basią sprzątały, gotowały i prały same, bez służby się obywając... Właśnie Jolanta zaniosła bratu i ojcu skromny obiad, kaszę jaglaną skwarkami okraszoną, pogawędziła z nimi, a teraz wracała do Basiuni. Szła wolno ulicą przedmieścia, smętnie zadumana; wspomnienia niedawno ubiegłej przeszłości, unosiły się przed nią, jak ptaki hyże, skrzydlate, niepochwytne; goniła je wzrokiem tęsknym i dogonić nie mogła... Zdało się jej, że widzi tam w dali matkę z maleńkim Staśkiem na kolanach, siedzącą pod brzozą zieloną; on nóżki różowe podnosi w górę, piąsteczki maleńkie do koralowych usteczek ciśnie, ona z miłością wpatruje się w niego i szepcze: „Mój ty śliczny, mój ty maleńki". I zdało się jej, że już dochodzi do nich, że ich

uściśnie lada chwila, lecz wdzięczny obrazek znikł naraz, a inny, jak w panoramie, wystąpił na miejsce tamtego. Około płotu stoi Zuzia w wianku z róż na głowie, w kształtniczku srebrnym, w błękitnej sukience; w dłoni trzyma kwiatek, skubie listki i mówi: „Przyjdzie, nie przyjdzie?“ „przyjdzie“ powiada ostatni listek. Rumieniec radości oblewa jej twarzyczkę. „Przyjdzie! przyjdzie!“ wykrzyknęła głośniej, a w tej samej chwili staje za płotem jej serdeczna Hania, strojna jak zawsze, boć to najbogatsza panna z przedmieścia. Przy Hani brat jej Władyś, dorodny chłopiec w perłowym kontuszu, w żupanie żółtym, z szabelką u boku, z wąsikiem czarnym. Zuzia furtkę ogródka roztworzyła, nareszcie goście weszli; ona ich wiedzie ku domowi ścieżyną, wijącą się wśród grusz i śliw. Białe płatki kwiatu lecą na ich głowy—wtem znikli wszyscy troje, a przed Jolantą stanął Bolko. Oczy jego pełne słodyczy i cichej pogody: „Siostrzyczko—powiada do niej—świta dopiero, ojciec nie woła jeszcze do warsztatu, matka śpi; chodźmy do kościoła, pomódlmy się“.

I znowu ta postać rozwiała się z przed jej oczu, ona westchnęła.

— To tylko wspomnienia—szepnęła—już ich nigdy, nigdy nie zobaczę!

Ból ścisnął jej serce, łezka z oczu spadła.

— Oj ta wojna, ta wojna—dodała.

W tem przystanęła, bo zdało się jej, że to co teraz zobaczyła naprzeciw siebie, to nie ułuda, nie marzenia, ale rzeczywistość... toć drogą naprzeciw niej idzie Hania Kosówna: ona, czy nie ona?... Jej twarzyczka, jej wzrost, ale tamta, przyjaciółka Zuzi, była hoża, rumiana, wesoła i strojna zawsze—a ta wychudła, blada, w sukni zniszczonej... Podeszły do siebie, stanęły, patrząc sobie w oczy.

— Hania!

— Jolanta!

Wyrwało się z ich ust, a w głosie obu dźwięczą struny pełne żalu... Rzuciły się sobie w objęcia, łzy potoczyły się im z oczu.

— Co tobie, Haniu?—spytała pierwsza córka Sępa.

Hania piąstkami oczy otarła.

— Bieda, wielka bieda—westchnęła—matka chora, jeść nie mamy co...

— A ojciec twój, nie pracuje?

— Zginął na wałach.

— A brat Władys?

— Rozsiekali go Tatarzy.

— A drugi?

— I ten poległ.

Umilkły obie, patrzały znowu na siebie smutne, oczyma pełnemi łez.

— Oj ta wojna, ta wojna — szepnęła nareszcie Hania.

— Gdzie mieszkacie teraz? — spytała Jolanta.

— Na wieży kościoła św. Magdaleny. Organista pozwolił nam pozostać.

— Pójdę do was.

Twarz Hani rozjaśniła się.

— O chodź moja miła — rzekła — tak dawno nie widzieliśmy nikogo z przyjaciół... Matka bardzo jest źle. Nie było za co kupić chleba, nazbierałam jakiegoś ziela, uwarzyliśmy; mnie nie zaszkodziło, matka położyła się zaraz nazajutrz i leży ciągle. Źle z nią bardzo...

— Był u niej lekarz?

— Nie. Przepisze zioła, lub maście, a pieniędzy nie da.

— Ale rada miasta nie odmówi; udajcie się tylko do niej.

— Kiedy żebrać tak przykro — odparła Ha-

nia, oczy spuściwszy.—Chciałam służbę przyjąć, ale matki chorej odstąpić nie mogę.

Westchnęła, łzy wielkie, jak perły potoczyły się po jej wychudłej twarzy, Jolanta ją uścisnęła.

— Żebrać nie będziecie, bo rada nie jałmużnę wam da, ale wasz własny grosz, toć wszystko co mieliście, oddaliście razem z innymi na obronę miasta—rzekła.—Odwiedzę twą matkę potem do ojca pobiegnę; on powie co czynić.

I poszły razem. Milczały już dalej; wspomnienia latały koło nich i płoszyły im słowa z ust, w przeszłości się zatopiły myślami... Dotarłszy do kościoła, dostały się po wązkich wschodkach na szczyt wieżycy; pod samym dachem znajdowała się tam mała celka, oświecona tak wązkiem okienkiem, iż szparą szeroką zdawała się być w ścianie. Słońce dawało przez nie niewiele światła, lecz jesienne zawieje i mrozy zimy, dużo chłodu i wilgoci, to też zimą i jesienią zatykano owo okienko słomą. Teraz szpara była odsłoniętą, więc Jolanta, wszedłszy do tego nędznego mieszkanka, poznała zaraz leżącą w kącie na barłogu Kosową, lubo zmienioną była wielce. Wzruszona tą zmianą, uklękła przy niej i rękę

jej ujęła. Chora poznała ją; zgasłe jej oczy ożywiły się.

— Bóg mnie wysłuchał—szepnęła—umrę spokojna o Hanię.

— Jakże ciężka dola wam przypadła, — szepnęła Jolanta.

— Nie nam jednym—odparła spokojnie Kosowa — powtóre mogło być gorzej. Lwów ocalał chwała Bogu.

Te proste słowa wzruszyły do głębi Jolantę i przejęły szacunkiem dla dzielnej kobiety.

— Nie damy wam marnie zginąć: dziś jeszcze rada dowie się o was—rzekła.—Przyjdzie lekarz i dźwignie was z choroby, przeprowadzimy was do wygodniejszego mieszkania.

Na ustach chorej ukazał się smętny uśmiech.

— Nie warto mnie już ruszać ztąd—odparła—Hanią się zaopiekujcie.

Jolanta pożegnała obie i wybiegła z celki obiecując, iż niebawem ją zobaczą znowu. Jakoż w parę godzin potem powróciła z pieniędzmi, jakie dał jej ojciec i z dobrą wieścią.

Rada miasta kazała przenieść Kosową do klasztoru Karmelitanek i oddać pod opiekę zakonnic. Sęp powiedział córce, że jeśli Hani przy matce pozostać nie pozwolą siostry, on u sie-



bie da jej schronienie .. Jolanta biegła ożywiona, niemal wesoła, lecz przestąpiwszy próg celki wieżycy—zdrętwiała; bolesne łkania dobiegły ją zgłębi. Ujrzała Hanię klęczącą u nóg matki, która leżała cicha i pogodna; zdawała się im mówić.

— Nie my jedni takiej doli doznali.

Córka płatnerza stała chwilę nieruchoma i milcząca, poczem podeszła do sieroty, objęła ją ramieniem.

— Siostrzyczko, przyniosłam pieniądze, pójdziemy trumnę kupić, musimy się zająć zmarłej pogrzebem.

Hania przytuliła się do niej ze szlochaniem.

— O bądźcie mi rodziną — rzekła — mnie moją burza porwała.

Poleca się „Tanie wydawnictwo dla dzieci i młodzieży“.

1. **Sen Józia** — powiastka, skrócona przez F. M. z pow. Zofii Urbanowskiej p. t. „Gucio zaczarowany“ Z rysunkami. Cena kop. 15.
2. **Przygody Robinsona** — streściła F. M. Z rysunkami. Cena kop. $12^1/_2$.
3. **Antek sierota** — powiastka przerobiona przez R. M. z powieści „Stacho“ Teresy Jadwigi. Cena kop. 10
4. **Bez rodziny** — przez Hektora Malot'a. Pow. przyswojona z francuskiego przez F. M. Z rysunkami. Cena kop. 30 — w ozdobnej oprawie kop. 60.
5. **Książeczka** dla tych, co chcą dobrze mówić, i pisać po polsku, przez W. Weychertównę. Z licznymi rysunkami. Cena kop. 25 — w oprawie kop. 30.
6. **Powieści i baśnie** — zebrała R. M. Zbiorek I-szy: Z rysunkami. Cena kop. $12^1/_2$.
7. **Powieści i baśnie** — zebrała M. G. Zbiorek II-gi: Z rysunkami. Cena kop. 15.
8. **Nowy zbiorek powieści i baśni** — zebrała R. M. Zbiorek III-ci: Z rysunkami. Cena kop. 20.
9. **Cztery powiastki** — przełożyła z czeskiego Antoszka. Zbiorek IV-ty: Z rysunkami. Cena kop. 10.
10. **Wesele zięby** — bajeczka prawdziwa. opowiedziana dziatwie przez M. J. Zaleską. Cena kop. 10.
11. **Zbiorek poezyi** Teofila Lenartowicza. Z portr. Cena kop. 10.
12. **Władysław Syrokomla** (Ludwik Kondratowicz) życiorys z portretem. Cena kop. 10.

Wydawnictwo Komitetu Damskiego
przy Warsz. Towarzystwie opieki nad zwierzętami.

1. **Przyjaciel koni** — powiastka A. Dygasińskiego z obrazkami. Cena kop. 15.
2. **Konie gospodarskie** nap. dr. Ant. Barański wydanie drugie. Cena kop. 12.
3. **Co człowiek zawdzięcza zwierzętom.** — Odczyt popularny Wł. Umińskiego. Cena kop. 10.
4. **Zwierzęta ginące i zaginione** — Odczyt popularny Wł. Umińskiego. Cena kop. 40.